

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

14. VII. 1957 r.

Nr 10

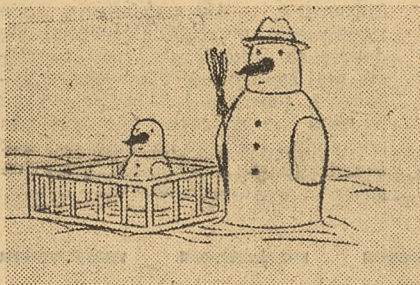
CENA ZŁ 1.50

Uff... jak gorąco!

Brr... jak zimno!



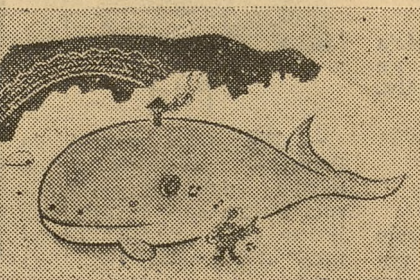
Gorąco



Zimno

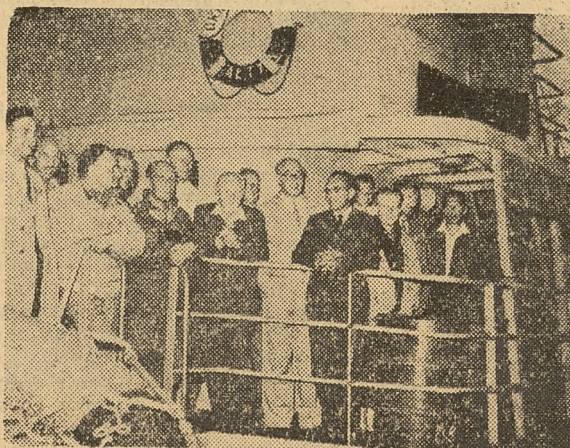


Gorąco

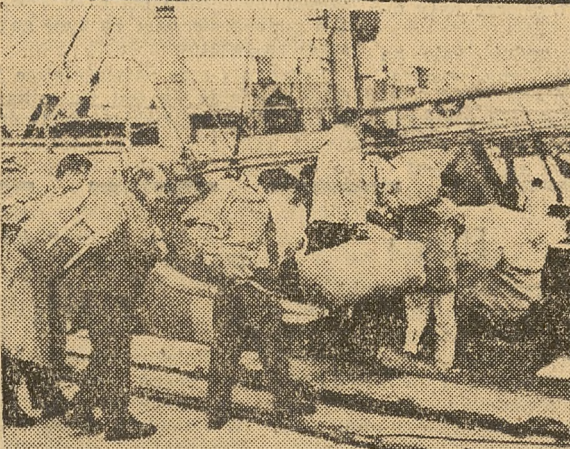


Zimno

POLSKA NA SPITS BERGEN WYPRAWA



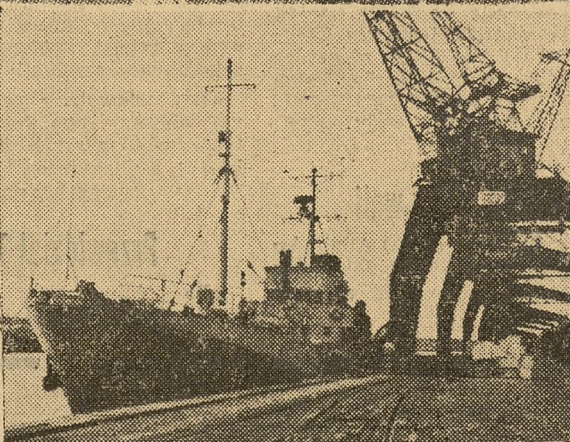
wyruszyła w
kraj lodów
dnia 26 czerw-
ca o godz. 4 na
statku hydro-
graficznym
„Bałtyk”



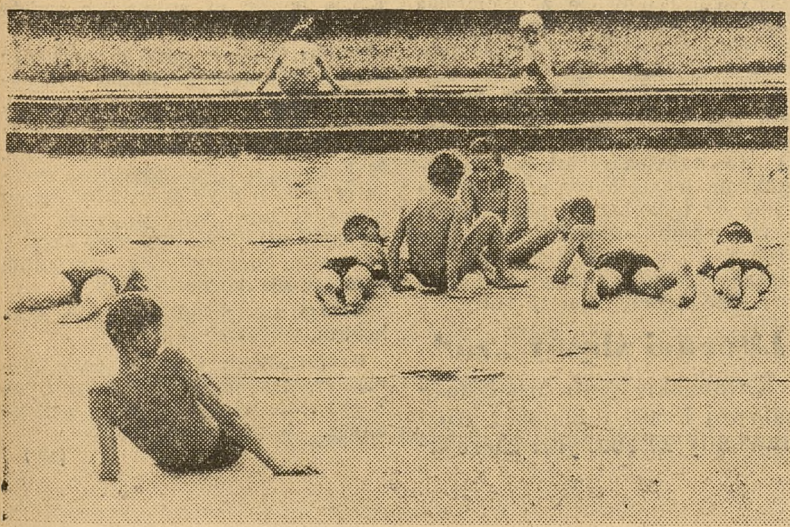
Poprzedniego
dnia uczestnicy
wyprawy zao-
krętowali się z
bagażem osobi-
stym



i z psami „Sza-
łasem”, „Doli-
ną”, która wła-
śnie zawiera
znajomość z je-
dnym z człon-
ków załogi



Za chwile „Bal-
tyk” odcumuje.
Jeszcze ostat-
nie zdjęcie. Kie-
rownik wypra-
wy znany po-
larnik doc. dr
Stanisław Sie-
dlecki (piąty od
prawy) z to-
warzyszami.



Nadojadło mi to bezustanne biadolenie, narzekanie, piętnowanie, uskarżanie się, oburzanie i bicie na alarm. Stanowiące esencję, materię i treść naszej publicystyki, dziennikarstwa, wszystkiego w ogóle, co piszemy i o czym mówimy.

— Dość tego! — rzekłem sobie dziarsko. — Należy opracować plan hedonizacji Polski, i to zaraz.

Hedonizacji w słowniku nie znajdziecie, bo ten termin sam wymyśliłem, a raczej stworzyłem z istniejącego: hedonizm, hedonistyczny, to pogląd, to postawa, nakazująca dążyć do szczęścia. Powinniśmy być szczęśliwi, inaczej nie warto się było rodzić. Trzeba tylko zastosować się do reguł mego systemu, a szczęście opanuje nas w krótkim czasie niepodzielnie.

System mój jest prosty. Składa się z dwu części — materialnej i duchowej. Na początku trzeba sobie wyraźnie i raz na zawsze powiedzieć, że się jest miliarderem, że się telewizor z domu wyrzuciło, bo już nie można na niego patrzeć, że w samochodzie nogi cierpią, a od Coca Coli dostało się zgagi. Potem trzeba przestać jeść obiady. Pragnienie należy zaspokajać wodą, głód — czym popadnie. Dobrze podsuszony chleb, wczorajszy ziemniak, trochę surowy — oto wszystko, czego nam na tym etapie hedonizacji trzeba. Wszystkie interesy, związane z czuwaniem nad miliardowym majątkiem, należy z ulgą zrzucić z barków. Przeważnie — siedzieć w domu, milcząc, wpatrując się w kłamkę, wykonując powolne oddechy, z powiadaniem sobie „jest mi błogo — coraz błżej”. Od czasu do czasu można poruszyć ręką lub nogą, kiedy zaśnie. Niepotrzebnych katuszy nie należy sobie zadawać.

Po odpowiedniej ilości oddechów, wpatrzeni w kłamkę chcąc nie chcąc zasypiamy i budzimy się dopiero w środku nocy. Wstajemy wówczas, idziemy na ulicę i oparci o mur (dla wygody) przyglądamy się gwiazdom. Trzy do czterech godzin wystarczy. Zacząć trzeba od przeliczania ich od lewej ręki do prawej. Gwiazdy przeliczone trzeba sobie jakoś zaznaczyć, żeby się rachunek nie mylił. Potem można skoncentrować uwagę na jaśniejszych i zastanawiać się nad możliwymi formami bytu na nich, przy czym należy wybierać byty ubogie i nudne.

Po odpowiednim podniesieniu na duchu, nasytzeni gwiazdami, wyobrażamy sobie różne nieszczęścia, które mogły nas spotkać, ale nie spot-

kały, a więc np. narodzenie się w charakterze perliczki, syjamskiego bliźniaka, drzewa kakaowego itp. Z pierwszym świtem wracamy do domu i zabieramy się do kłamki.

Wiele uwagi trzeba poświęcać zwalczaniu niższych skłonności własnego ciała, więc jego zamilowaniu do wygodnego siedzenia, do miłego łóżka, do umiarkowanej temperatury. Początkowo jest to trudne, ale już po czterech-pięciu miesiącach wszystko leci jak z płatka: kłamka — oddechy — obierzyny ziemniaczane — gwiazdy — perliczka — kłamka.

Po sześciu miesiącach przychodzi pora erupcji szczęścia, pełnego korzystania z doczesnych możliwości. Idziemy na spacer,jemy obiad złożony z prawdziwego szynela i gotowanych w sam raz ziemniaków, rozkoszujemy się niepatrzeniem na kłamkę, nieliczeniem gwiazd oraz

wym, byle jakim, przeciętnym, lecz miliarderem szczególnie, z dziwactwami, z tendencją do wyrzeczeń, do rezygnacji, bo taka jest nasza natura, bo tak się nam podoba, i już. To jest szalenie istotny warunek sukcesu planowej hedonizacji.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że nie wymyśliłem niczego nowego, gdyż to wszystko jest po prostu zastosowaniem starego kawału o rabinie, który kazał kozę trzymać w mieszkaniu aby, po jej wyrzuceniu, zrobiło się czystiej i przestronniej. Twierdzę, że mój system jest lepszy, bo po pierwsze kalkuluje się taniej (odpada koszt kozy), po wtóre jesteśmy p. o. miliarderem, co jest nie do pogardzenia, a po trzecie nic nowego nie ma pod słońcem.

Konsekwentne zastosowanie się do mego programu gwarantuje mrozoną hedonizację na skalę ogólnokrajową w bardzo krótkim czasie.

Felieton

HEDONIZACYJNY

długim, pokrzepiającym snem nocnym. Widok przechodniów na ulicach, wystaw sklepowych, prawdziwych tramwajów a nawet dorożek budzi w nas zachwyt, szamy się szczęścia przebiegają nam po ciele, izami skrapiamy pierwsze ciastko na margarynie, miłośnie wtulamy się w objęcia ogonki po kiebasę, jesteśmy pogodzeni z życiem takim, jakie nas właśnie otacza. Jesteśmy szczęśliwi.

Po pewnym czasie zjawiska psuć się poczynają. Szynceł wydaje się zrobiony ze starej bułki, ziemniaki nie cieszą podniebienia, ogonki oczu, przechodnie potrącają nas, jest ich jakoś za wiele, wszędzie tłok, wszędzie niczego nie można dostać, brud, piłacy, chamy, balagan — zaczyna się zmierzch szczęścia. Chwilami nawet tramwaj przestał nas radować. Po dwu tygodniach już znowu stara, zła krew nas zalewa.

Wtedy następuje powrót do zbawionego systemu. Kłamka, gwiazdy i tak dalej. Nie musimy już wyliczać szczegółowo. Mija pół roku, i wszystko podoba się nam na tym najlepszym ze światów.

Przez cały czas najważniejsze jest, żeby pamiętać, że jest się miliarderem, ale nie miliarderem tuzinko-

wym, wobec nas, żujących zwolna surowe obierzyny i przypatrujących się od niechcenia kłamce, ogólniali od dolarów bogacze amerykańscy, którzy sami już nie wiedzą, gdzie jest jedni, co robić z forsa, z czasem i z własnym antypatycznym cielskiem?

System mój uwzględnia poza samym problemem hedonizacji także i nasze cechy narodowe. Stosując go, staniami się dopiero i naprawdę w pełni tym, czym dziś jesteśmy ledwo w zaledwie: narodem indywidualistów, nie liczących się z rzeczywistością, zapatrzonych w niemożliwości marzycieli, fantastów, nie słuchających nikogo prócz siebie, a i siebie nie zawsze. Własnej naturze nie należy się sprzeciwiać, wprost przeciwnie, trzeba ją starannie pielęgnować.

Dlatego radzę wam szczerze i po dobroci: spróbujcie mego systemu. Spróbujcie, a nie pożałujecie. Nie ryzykujecie przecież nic. Jeżeli się dobrze zastanowicie, to i tak stosujecie mój system, ale niechcący, chaotycznie, potrosze i bylejak. Czyż bowiem nie włączymy się bez celu pod gwiazdami, czy nie marzymy bez sensu, czy nie jesteśmy wszyscy zapatrzeni w jakieś kłamki...?



POSTULUJEMY TARGI KSIĘGARSKIE W KRAKOWIE

Wiele ciekawego na temat inicjatywy „Zdarzeń” mają do powiedzenia przedstawiciele „Domu Książki” w Krakowie. Oto co mówi dyrektor, **Marian Puzio**:

— Oczywiście, że żadne miasto w takim stopniu jak Kraków nie nadaje się do urządzenia targów. U nas są przecież najbogatsze tradycje bibliofilskie. W Krakowie słyną antykwiaryści, Kraków jest miastem, w którym ceni się i kocha książkę. Jeszcze teraz przecież przyjeżdżają do naszego miasta zagraniczni księgarze interesujący się książką antykwalną.

Nie można zapominać też, że w Krakowie właśnie mamy kadrę starą, doświadczonych księgarzy. Urządzenie międzynarodowych targów księgarskich w naszym mieście byłoby z pewnością dużą atrakcją nie tylko dla krakowian i w ogóle obywateli z Polski lecz także miłośników książki z zagranicy. Aż prosi się, żeby imprezę taką połączyć z Dniami Krakowa.

— Co myślicie, dyrektorze, o artykule, który na temat ewentualności urządzenia targów w Krakowie zamieściliśmy w „Zdarzeniach”?

— Najlepiej moją opinię, jak zresztą opinię pracowników naszej instytucji wyraża pismo, które przesłaliśmy do naszego Centralnego Zarządu po ukazaniu się artykułu pt. „Postulujemy międzynarodowe targi księgarskie w Krakowie”. W piśmie tym, które dołączyliśmy do waszego artykułu stwierdzamy, że zgadzamy się całkowicie z inicjatywą waszego pisma i bardzo pragniemy widzieć następną tego rodzaju imprezę w Krakowie.

— Jakie byłoby, zdaniem dyrektora, największe przeszkody w organizacji tej imprezy?

— No, największy szkopuł to zagadnienie lokali. Wydaje mi się, że trzeba by było bardzo poważnie tę sprawę przedyskutować.

Nie wiem czy nie należałoby się zastanowić nad wykorzystaniem do tego celu terenu Nowej Huty.

Literaci ślasy „za”

Katowicki Klub Międzynarodowej Prasy i Książki. Rozmawiamy ze znanymi literata-

mi śląskimi Aleksandrem Baumgardtem i Janem Brzozą, parę dni przed ich wyjazdem do Włoch i Francji. Brzoza wyjeżdża jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki, Baumgardten towarzyszyć będzie zespołowi Skusanki na Festiwal Goldoniego.

„Zdarzenia” postulują powierzenie Krakowowi organizacji III Międzynarodowych Targów Księgarskich. Co państwo o tym sądzą?

Baumgardten: świetny projekt. Bez wahania podpisuję się pod nim.

Brzoza: kto jak kto, ale Kraków ma pełne prawo do takiej imprezy. Stąd przecież wywodzi swe tradycje polska sztuka drukarska.

Baumgardten: dodaj, że te tradycje Kraków dobrze podtrzymuje. Najpiękniejsze wydawnictwa powstają właśnie w drukarniach krakowskich.

Brzoza: za Krakowem przemawia i to, że stanowi on drugi po Warszawie ośrodek wydawniczy. Wydawnictwo Literackie, Państwowe Wydawnictwo Muzyczne — oto najlepsze argumenty Krakowa.

Baumgardten: Poznań ma już swoje targi, a Warszawa to cóż... stolica zmonopolizowała tyle imprez, że doprawdy targi księgarskie nie znalazłyby należytego oddźwięku. A wyobrażam sobie, że w Krakowie będzie to prawdziwe święto książki.

Brzoza: Kraków umie organizować tego typu imprezy. Trudno wyobrazić sobie lepszą oprawę dla książki, niż ta, którą może stworzyć Kraków.

Baumgardten: nie zapominać, że Kraków ma już wyrobioną markę ośrodka o największych w Polsce walorach turystycznych, czego pamiętając o licznych w czasie targów napływie cudzoziemców absolutnie pominąć nie można.

Brzoza: słowem głosujemy za Krakowem.

Baumgardten: i popieramy „Zdarzenia”. III Międzynarodowe Targi Księgarskie winny się odbyć w Krakowie.

(aw)

ZDARZENIA

Etykieta

„Przyjmując za punkt wyjścia ujęcie kwestii rewizjonizmu przez IX Plenum KC Konferencji (Warszawska Partyna — przyp. red.) równocześnie wypowiedziała się przeciw próbom wyolbrzymiania zjawisk rewizjonizmu i oblepiania tą etykietą przejawów samodzielnego marksistowskiej myśli twórczej opartej na analizie rzeczywistości i zgodnej z leninowskimi podstawami polityki partii”. (TRYBUNA LUDU)

Dobrze obsłużeni

„Statek pasażerski „Ille-de-France” przybył do Nowego Jorku mając na pokładzie 817 członków załogi i 3 pasażerów. Pasażerowie ci jadali przy stole kapitańskim i korzystali z usług tuzinów stewardów obsługujących zazwyczaj około 1.000 osób”. (LE MONDE)

Iluzja

„Many Republiki Federalnej w swym przedstawianiu wschodnich granic Niemiec są osamotnione. Nigdzie na świecie nie podziela się ich poglądów. Jest raczej rzeczą nieprawdopodobną, że dzieje się tak z obojętności lub flegmy. Trzeba raczej przyjąć, że zagranica traktuje roszczenia niemieckie jako iluzję”. (DEUTSCHE ZEITUNG UND WIRTSCHAFTS-ZEITUNG)

Co kto woli

„Gallub: 84 na 100 Anglików widząc fotografie Lolobrygidy z dwoma wilczurami wykrzykuje:

— Ach, jakie piękne psy!” (PARIS MATCH)

Nagroda

„Należy odnotować fakt u nas dosyć niezwykły i godny naśladowania. Oto młodzież Wrocławia (Rada Związku Studentów i pismo „Poglądy”) postanowiła przyznać z okazji Dni Wrocławia, nagrodę za wybitną działalność społeczną dla młodzieży i studentów. Pierwszą taką nagrodę — jak informuje „Gazeta Robotnicza” — otrzymał przewodniczący Prez. Rady Narodowej m. Wrocławia E. Król”. (PRASA POLSKA)

Nie ma!

— „Nie ma czeskiej drogi do socjalizmu — oświadczyło mi kilku moich rozmówców” (POLITYKA w korespondencji, własnej z Pragi).

Formułka

Katowice. Odbyły się tu narady aktywów z kluczowych zakładów Bielska, Bytomia i Zabrze. Nowych Tych na temat działalności konserwatywnej i sekciarskiej grupy w Związku Radzieckim. Omawiając tę uchwałę, obecni na jednym z zebrań stwierdzają w zakończeniu rezolucji:

„Ta uchwała z pewnością wpłynie na opamiętanie się także wielu naszych dogmatyków i rewizjonistów”.

(ŻYCIE WARSZAWY)

Przewidział?

„Po Albrechcie Dürerze (1471—1528) pozostał nam ry-

sunek, który ze wstrząsającym realizmem przedstawia na 400 lat przed naszą epoką wizję „eksplozji atomowej”. Dürer wykonał ten rysunek pod wpływem przeżytej wizji sennej”. (SPIEGEL)



Cytat

— „Nie mogę wracać do Polski — oświadczył pewien młody, zdolny powieściopisarz emigracyjny — ponieważ jestem zwolennikiem realizmu...” (PO PROSTU)

Fot. A. PIOTROWSKI

ZAWÓD WYKONYWANY — ŻEBRAK

MELANCHOLIA ZA 3 TYSIĄCE

Zna go cały Kraków. Szczupły, ubogo ubrany, o łagodnym, seamyj spojrzeniu, najczęściej wystaje przy skrzyżowaniu Gołębiej i Jagiellońskiej. Niekiedy nosi ciemne okulary i wtedy oczy jego nieruchomieją jak oczy ślepeca. Ze skrzypiec ślimaczą się przynębiające melodie. Przechodnie ruchem dyskretnym, pełnym współczucia wsuwają datki do postrzępionej kieszeni.

Niewesoła jest ta muzyka, która dzień po dniu, bez względu na porę roku, godzinę, pogodę rozbrzmiewa pod murami Uniwersytetu. Natomiast jej wykonawca zdecydowanie rozwesela się z nastaniem wieczoru. Otula swój warsztat pracy podniszczonym futerałem i rażno maszeruje w stronę najbliższej restauracji. Wychyliwszy kilkanaście kieliszków, chowa do kieszeni flaszkę wódki, którą wypije później, już w towarzystwie przyjaciółki. Można go spotkać w tramwaju, jak z wysiłkiem utrzymując równowagę mruć coś pod nosem i uśmiecha się do siebie. Humor całkowicie uzasadniony; Franciszek Kurletto, melancholijny skrzypek, któremu studenci w drodze na wykłady podrzucają swoje stypendialne grosze, zarabia dziennie 100—150 zł. Porzucił żonę i troje dzieci nie troszcząc się o ich los. Kilkakrotnie zatrzymywany przez milicję — za każdym razem podpisuje deklarację Urzędu Zatrudnienia, z niezmaczanym spokojem kładzie swe nazwisko pod formułą „Ja niżej podpisany wiem o tym, że żebractwo jest zakazane...”

Franciszek Kurletto przedstawia się jako zawodowy muzyk — i faktycznie, biorąc rzecz od strony finansów, ma ku temu niejaki podstawy; miesięcznie zbiera 3—5 tys. zł. A ile wynoszą przeciętne pensje tych, którzy z litości składają się na jego wieloletnie nierobstwo, alkoholizm, degenerację?...

ŻEBRAK I STRAŻ PRZYBOCZNA

I jego spotykamy codziennie. Budzi ogólną litość objawami częściowego paraliżu i nerwowej drżączki. Tymczasem — badanie lekarskie wykazuje, że „nieszczęśliwy kaleka” jest w większej mierze tylko utalentowanym symulantem. Benedykt Milcz cierpi jednak na poważne, bliskie całkowitej ślepoty zaburzenia wzroku, to już jest prawda. Wydawałoby się więc, że z wdzięcznością przyjmie skierowanie do internatu dla inwalidów ociemniałych. Owszem, wyuczono go tam zawodu, dano zarobek i dach nad głową — po to, aby po pewnym czasie

zbiegł, podobnie jak uciekał ze wszystkich chyba Domów Opieki na terenie województwa.

Milcz jest nałogowym pijakiem, w dodatku awanturnikiem. Zebrze od 16-tego roku życia; obecnie ma lat 54... Doprowadzony do Domu Rozdzielczego przy ul. Sołtyka, wymyka się otwierając sobie drzwi wytrychem lub piując krawy w oknach. Jego koledzy po fachu potwierdzają, że Milcz opłaca i utrzymuje „straż przyboczną” złożoną z dwu kobiet, które pilnują czy nie nadchodzi milicjant. Dienne „honorarium” każdej z nich wynosi pełne utrzymanie oraz 30 do 50 zł — zależnie od koniunktury... Można więc sobie wyobrazić, jak wiedzie się samemu Milczowi. Posiada on mieszkanie, meble, pięciolampowe radio. A są to — podkreślam — fakty ściśle sprawdzone.

Przy ul. Dajwór 23 mieszka Maria Nowak. Żebractwo jest wyłącznym źródłem jej utrzymania. Jeszcze przed dwoma laty stwierdzono, że biedna odożyła na PKO 10 tys. zł. A do tej chwili?...

ELOKWENTNY NIEMOWA

Klan zawodowych krakowskich żebraków zubożał ostatnio o postać Stanisława Klimy. Najchętniej wysadywał on, a raczej leżał na rozchodzących się od Rynku ulicach. Tragiczny w swej bezradności, wstrząsający zgrozą kadłub człowieka w sile wieku — bez obu nóg. Dlatego do podtrzymywanej drżącą, brudną ręką czapki Klimy sypały się datki najobfitsze. Tak było w dzień. A wieczorem?...

Kiedy zapadał zmrok i miasto pustoszało — Klim, obliczywszy „kasę”, rozglądał się wokół siebie po czym sprawdzając, że jest sam — stawał na... równe nogi i wędrował do domu, na dalekie przedmieście. Jakiego talentu aktorskiego, a zarazem i oierpliwości trzeba, żeby przez cały boży dzień, na ruchliwej i tłumnej ulicy trwać w pozycji, maskującej własne kończyny!

Ten genialny w swoim rodzaju symulant szybko znalazł paru naśladowców, co prawda skromniejszej miary.

W śródmieściu zatrzymuje przechodniów jęklący bełkot Józefa Farnausa. Tylko wśród czterech ścian Domu Rozdzielczego niemowa odzyskuje głos... i to jaki! Na całe gardło, aż chrząknąć z wysiłku, krzyczy:

— Puście mnie do Mszany!
Mszana jest rodzinną miejscowością Farnausa. Jego nostalgia koń-

czy się jednak w momencie powrotu na ulicę. Przy dotychczasowym systemie zwalczania żebractwa nie ma siły, która skłoniłaby „niemowę” do powrotu w rodzinne progi. Jakże się tu zresztą dziwić skoro w chustce, obwiązuje jego ramię pod marynarką, spoczywa stale 500—700 zł bieżących oszczędności...

MIŁOSIĘDZIE I DENATURAT

Inny nestor krakowskich żebraków, Michał Gawlik, zarobkuje pod kościołami. Zwyczajny alkohol już mu nie wystarcza: zaczął się upijać denaturatem. Niesposób zliczyć wszystkie Domy Opieki, z których uciekał w swej długoletniej, żebraczej karierze. Odsyłało go nawet do innych województw, np. w Lubelskie — po to, aby po tygodniu znów pojawił się w kościelnej kruchcie. Ubranie i bieliznę otrzymywane na terenie kolejnych zakładów, konsekwentnie „zamienia” na wódkę. Brudny, zawszony, odrażający mruć modlitwy, śpiewa pobożne pieśni, a litościwe ręce wsuwają mu w dłoń bilon i banknoty, przystając się we wciąż nowe i nowe litry spirytusu.

SĄ WSZĘDZIE

Wystarczy wstąpić na obiad do „Centralnej”, posiedzieć przy kawie w „Telimenie” — żeby nad stolikiem pojawiła się brudna ręka, żeby żałosny głos wymamrotał:

— Co łaska dla biednego...
Niekiedy proceder odbywa się w milczeniu. Nie pada ani jedno słowo, tylko nieruchoma, wyciągnięta dłoń trwa, jak symbol niepisanej konwencji między tymi, co dają za nie — i tymi, co za nie biorą.

Z milczącą dezaprobatą obecnych spotyka się kelner wypraszający natręta. Ale to rzadkie wypadki. Najczęściej kelnerzy nadal obojętnie uwiązają się po sali, niekiedy nawet zamówienie czy rachunek inkasowane bywa ramię w ramię z „biednym”.

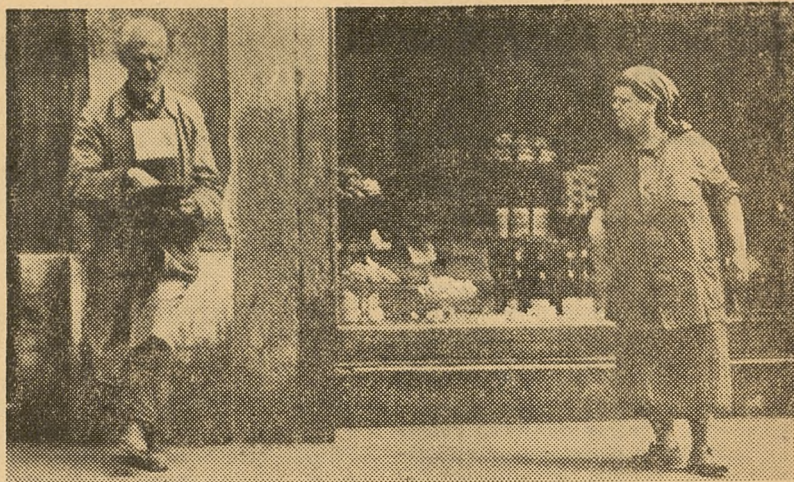
Żebrak zatrzymany przez milicjanta podnosi krzyk i lament. Z miejsca otacza go współczujący tłum, broni, odpycha funkcjonariusza.

Tak, są wszędzie. Na dworcach, w wagonach kolejowych, w sklepach. Od czasu do czasu pozwalają się kierować do różnych ośrodków wiedzy przeciwie, że mogą je opuścić w każdej chwili. Dom Opieki dla Dorosłych — to nie więzienie. Przymusu stosować nie wolno. Dlatego 40-letni Tadeusz Trytek, alkoholik, chory na otwartą gruźlicę, chętnie nocuje w krakowskim Domu Rozdzielczym. Po śniadaniu — wychodzi na ulicę. Zebrze do wieczora, wraca z flaszką wina lub wódki. Leczyć się nie chce, uciekł nawet z zakładu w Zakopanem, gdzie wysłano go z uwagi na niebezpieczny dla niego i otoczenia stan zdrowia. Kpiąco powtarza:

— A cóż wy mi zrobicie?
I niestety — ma rację.

„OŚWIADCZAM, ŻE DOBROWOLNIE NIE PÓJDE...”

Ogólnikowa ustawa sprzed do- brych 30(!) lat mówi o zwalczaniu żebractwa i włóczęgostwa karami



Benedykt Milcz, ze swoim „aniołem stróżem”. To z waszych datków bierze od Milcza po 50 zł dziennie ta wdzięczna postać...



Ten człowiek widzi!!! Przed chwilą rozglądał się po pustej ulicy — teraz oślepił — bo znów wypatrzył przechodnia.



Na ulicy was nie zaczepi. Jest ostrażna, krąży tylko po domach. Możecie ją często spotkać w sklepach spożywczych jak kupuje „ciwiartkę”

więzienia do dwóch lat. W praktyce ustawa jest fikcją. Sąd zwalnia od odpowiedzialności (jak to miało miejsce z żebrakiem Kromką) włóczęgów chorych, starszych wiekiem, inwalidów. I stąd być może tupet ekstrymalisty, a od dobrych 15 lat z wyklętego wydrwigrosza, Józefa Bruzdy, który zeznał w komisariacie MO:

„Oświadczam, że prawie każdego dnia jestem w Krakowie, gdzie uprawiam żebractwo”...

a nieco później mówił do kierownika Domu Rozdzielczego, kiedy ten uzupełniał (po raz który to?) jego kartotekę:

„Do żadnego zakładu dobrowolnie nie pójde, a gdybym został umieszczony w zakładzie przymusowo, to zakład ten natychmiast opuszczę”.

Bruzda mieszka na Woli Duchackiej przy ul. Konopnickiej 1. Zdemoralizował, wziął na utrzymanie kilkunastoletnią podówczas dziewczynkę. Sam ma przeszło 70 lat. Zebrze przy ul. Siennej, Długiej, nawet na Placu Szczepańskim — pod oknami Komendy Wojewódzkiej MO.. „Znak rozpoznawczy” — twarz owinięta brudną szmatą dla zamanifestowania jakiejś nieistniejącej zresztą dolegliwości.

Trafiają się i wierne „stadła” żebrackie. 60-letni Leopold Mastalski zbiera datki zawsze w asyście dużo od siebie młodszej niewiasty. Zarobiwszy — idą razem na wódkę, kłóca się, biją na ulicach miasta — żeby rano już zgodnie powrócić do zawodu...

KRAKÓW ICH NIE ZNA

Dlaczego do tej pory nie wyszedł z pracownicy grafików ani jeden afisz pokazujący prawdziwą treść żebractwa, dlaczego milczy radio i prasa, a na ekranie nie pojawiają się choćby fragmenty prawdy o wielkim oszustwie, którego ofiarą padają setki obywateli?...

Zamknięte zakłady, zmodyfikowana, rozszerzająca zakres praktycznej już represji karnej ustawa o zwalczaniu żebractwa — są niezbędne. Ale to tylko pierwszy krok. Reszta — i w tym wypadku to naprawdę nie frazes — zależy od społeczeństwa.

Z praktyki wynika, że ludzie prawdziwie biedni — nie żebrzą. Setki podań o renty, o miejsca w Domach dla Starców czekają swojej kolejki w radach narodowych. Fundusze

państwowe są wciąż niewystarczające, ośrodków dla ludzi chorych, bezradnych, starych — jest wciąż za mało. Czy nie rozsądniej, bardziej uczciwie byłoby przeznaczyć swoją ofiarność na jakąś zorganizowaną już akcję pomocy społecznej?

Sankcje karne mogą być — i przy najenergiczniejszym nawet stosowaniu — pozostaną tylko półśrodkiem w likwidacji plagi żebractwa, karmionego ludzka naiwnością. Żebractwa, w sposób bezpieczny, bo jawny i uświęcony tradycją, żerującego na fałszywej filantropii.

PÓŁ GODZINY KALECTWA

Bezkarne przykłady robi swoje. Zdarzają się (milicja notuje takie wypadki) żebracy „amatorzy”. Tych zdemaskować jest trudniej, po ulicy nie grasują, ich wygląd nie przyciąga uwagi. Przyzwyczajeni ubrani młodzieńcy stukają do drzwi mieszkań, prosząc o zasiłek „na bilet kolejowy”. Jeden z nich, zapytany dokąd zamierza jechać, bąknął coś o „przydziale pracy bez mieszkania”. Jego nazwisko nie zostało niestety zidentyfikowane, bowiem widząc, że wyjaśnienia nie budzą zaufania u gospodarzy, nie nalegał więcej i szybko się ulotnił. Tak zareagowano w jednym domu — z ilu jednak domów oszust mógł wynieść mniej lub więcej pokaźne datki?

Są jednak i metody bardziej wyszukane.

Ulica Floriańska, wieczór. Dwu mężczyzn w bramie charakterystycznie wspólnika. Rękaw marynarki demonstracyjnie wepchnięty w kieszeń, gruby, brudny bandaż na bocznej stopie — i już mamy inwalidę. Kiedy dobre serca przechodniów dadzą „w przeliczeniu” cenę ciwiartki, zmiana warty: dwu pije w tej samej bramie, nowy k a l e k a zbiera na następną porcję.

Jeden z działaczy społecznych, który sprawę żebractwa „rozgryza” od dobrych 20 lat i ma już w tej dziedzinie niemałe doświadczenie, opowiadał mi, że milicja często zatrzymuje żebraków dojeżdżających na gościnne występy z Katowic, Łodzi, Warszawy. Zapytani, co skłoniło ich do takiej f a t y g i, odpowiadają po prostu:

— Kraków to bardzo mi ł o s i e r n e miasto. Fatyga się opłaca...

ANNA STROŃSKA

NAUKA

Prezentujemy Wam za tygodniem amerykańskim „Look” całą kolekcję samolotów odrzutowych i śmigłowo-odrzutowych, które rozpoczęły albo już wkrótce rozpoczną obsługiwać światowe linie komunikacyjne. Dotychczas odrzutowce produkowano jedynie jako samoloty wojskowe, w nielicznych tylko wypadkach służyły celom komunikacyjnym. Obecnie lotnictwo cywilne wchodzi w nową erę — erę pasażerskich maszyn odrzutowych. O tym jak będzie wyglądała ta nowa era dowiedzie się z wywiadu, przeprowadzonego z jednym z najlepszych pilotów amerykańskich — FRANKIEM TOSTO, specjalistą od samolotów odrzutowych.

Pytanie: Ile odrzutowców będzie kursowało na światowych liniach lotniczych?

Odpowiedź: Wartość maszyn, które zatrudnią światowe linie, przekracza 3 biliony dolarów. W obliczeniu tym nie uwzględniono samolotów rosyjskich. Liczba ta reprezentuje prawie tysiąc nowych jednostek powietrznych — zamówionych do celów komunikacyjnych. Z tego na razie bardzo nie wiele samolotów zaczęło już kursować.

Pytanie: Czy to dużo — tysiąc samolotów odrzutowych?

Odpowiedź: Ich możliwości transportowe trudno wprost sobie wyobrazić. Jeden nowy Douglas DC-8 będzie mógł przewozić przez Atlantyk w ciągu roku tylu pasażerów ile obecnie w ciągu tego samego okresu zdolny jest przetransportować statek o wyporności 45 tysięcy ton.

Pytanie: Czy podróż odrzutowcem będzie bezpieczna?

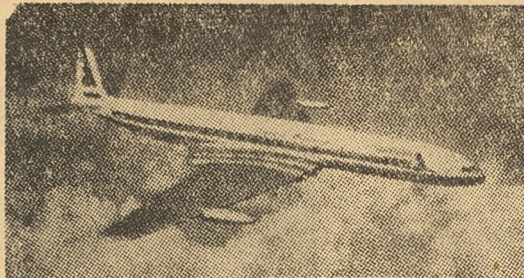
Odpowiedź: Bezpieczniejsza niż latanie obecnie. Można to określić w ten sposób: latanie będzie chyba cztery razy bezpieczniejsze niż jeżdżenie obecnie taksówką.

Pytanie: A szybkość i wysokość?

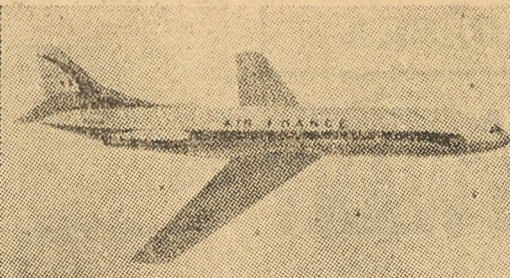
Odpowiedź: Wielkie odrzutowce będą rozwijać szybkość 550—615 mil na godzinę (jedna mila — ok. 1,5 km) przy wysokościach od 9-ciu do 19 kilometrów. Samoloty śmigłowo-odrzutowe latają wolniej: 230—400 mil na godz.

Pytanie: Kiedy rozpoczną się loty odrzutowcami?

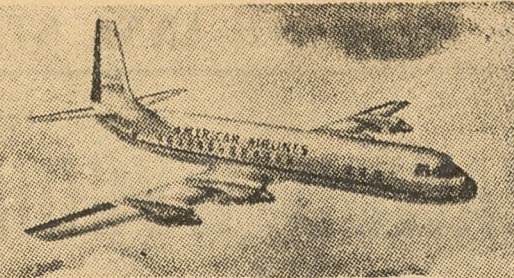
Odpowiedź: Pierwsza „czysto” odrzutowa maszyna, która rozpocznie



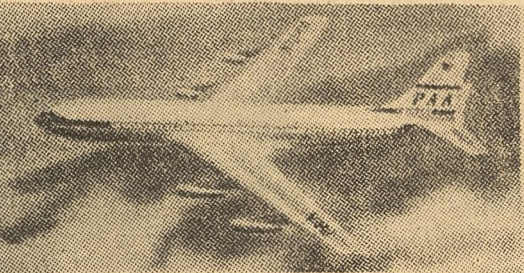
„BOEING 707” — dawniej tankier powietrzny — obecnie ma stać się maszyną pasażerską o średnim zasięgu. Zabiera 146 pasażerów. Silniki — 4 turboreaktywne + 4-ry rolls-royowskie. „Boeingi” zaczną kursować w 1959 roku.



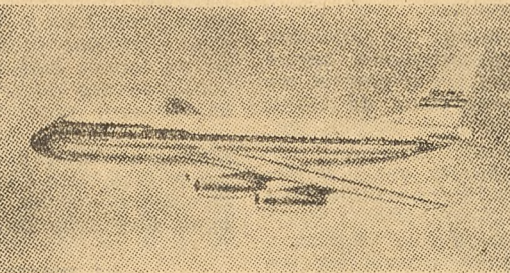
„DOUGLAS DC-8” — pierwszy wykończony model pojawi się wiosną 1958 roku. Pod względem zaopatrzenia w silniki i innych szczegółów technicznych te nowe „Douglasy” bardzo przypominać będą „Boeingi”.



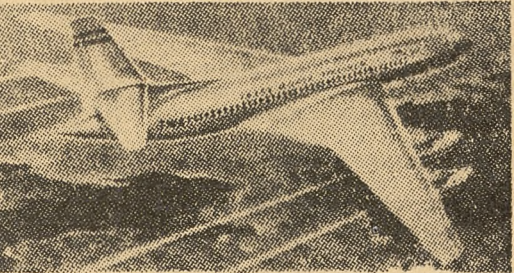
„CONVAIR 880” — zwany „Złotą Strzałą” — będzie zabierał 80—141 pasażerów. Planowana szybkość lotu 615 mil na godzinę.



„COMET-IV A”. Podobny nieco do radzieckiego „TU-104”, zaopatrzony w taką samą ilość silników. Szybkość — 543 mile na godz. Zabiera — 70—92 pasażerów.



„CARAVELLE” — jedyny „czysty” odrzutowiec zachodni konkurujący już oprócz radzieckich „TU-104”. Francuzi zatrudnią tego typu maszyny do przewożenia po 80 pasażerów z szybkością 475 mil na godzinę.



LOCKHEED ELECTRA czteromotorowiec śmigłowo-odrzutowy. Szybkość 407 mil na godzinę. 66—91 pasażerów. Próbné loty zacznie w 1958 roku. Przeznaczony do lotów na krótkie dystanse.

SZYBKOŚĆ I WYSOKOŚĆ dwa symbole dzisiejszych czasów

kursować na liniach USA to brytyjska „Comet IV” — przypuszczalny termin rozpoczęcia kursów rok 1959. Potem przyjdzie zaraz kolej na „Boeing 707” i Douglas „DC-8”. Popularne „Viscounty” już pracują. (Warto dodać, że pierwszym na świecie „czystym” odrzutowcem pasażerskim jest radziecki „TU-104”, który już od dawna pełni służbę w powietrzu. O tej maszynie pilot amerykański będzie za chwilę mówił w swoim wywiadzie — przyp. red.).

Pytanie: A jaka będzie podróż odrzutowcami?

Odpowiedź: Gładka i spokojna. Pasażerowie nie będą czuli męczących drgań, powodowanych obecnie przez silniki spalinowe.

Pytanie: Czy wprowadzenie komunikacji odrzutowej natrafi na jakieś trudności?

Odpowiedź: Największą jest kierowanie ruchem. Nowe maszyny poruszają się tak prędko, że piloci nie będą w stanie uniknąć kolizji z innymi maszynami bez pomocy z zewnątrz. Obsługa lotnisk będzie musiała się dokładnie orientować w pozycji każdej maszyny znajdującej się w powietrzu. Każda zaś maszyna będzie zaopatrzona w przyrządy ostrzegające o możliwościach kolizji. Nowe przyrządy nawigacyjne poinformują pilota o jego dokładnym „położeniu” w powietrzu w każdej sekundzie.

Pytanie: Czy obecne lotniska nie są przypadkiem za małe dla odrzutowców?

Odpowiedź: I tak i nie. Wielkie 150-tonowe odrzutowce mogą z powodzeniem używać obecnych międzynarodowych lotnisk zaopatrzo-

nych już w długie pola startowe. Mniejsze maszyny będą natomiast mogły startować z mniejszych lotnisk. Ale... jeżeli społeczeństwo zechce wyciągnąć pełne korzyści z komunikacji odrzutowcami będzie musiało pobudować lub dobudować wiele nowych pól startowych. Takie pole kosztuje milion dolarów za obszar o odległości 300 metrów.

Pytanie: Czy pod względem produkcji odrzutowców jesteśmy w tyle za Rosjanami?

Odpowiedź: Czy ja wiem? Amerykanie, którzy lataли na radzieckim „TU-104” stwierdzili, że jest to dobry odrzutowiec pasażerski. Zabiera 50—70 pasażerów. Rozwija szybkość 500 mil na godzinę. To nie jest tylko przerobiony bombowiec. „TU-104” umożliwia błyskawiczną komunikację na wielkich obszarach

rosyjskich oraz komunikację z Chinami. Nie mamy jednakże danych o bezpieczeństwie tej maszyny i jej cenie.

Pytanie: A co z brytyjskim odrzutowcem „Comet I” — fiasko?

Odpowiedź: Panuje przekonanie że Brytyjczycy zbyt szybko wystartowali ze swoim odrzutowcem, wprowadzili go do komunikacji choć był niedopracowany technicznie. To ich nauczyło ostrożności.

Pytanie: Jakże zmiany na świecie wprowadzi komunikacja odrzutowcami?

Odpowiedź: Zmniejszy odległości o jedną trzecią. Stanie się naprawdę możliwe dokonanie podróży przez całe Stany Zjednoczone i z powrotem, a nawet z Ameryki do Europy i z powrotem w ciągu jednego dnia.

opr. według „Look” (zt)

RECENZJE

HARASIEWICZ w Londynie

(Korespondencja własna z Londynu)

Pierwszy koncert Adama Harasiewicz w Londynie, wypadł nadszperkowanie dobrze. Był to pierwszy krok młodego pianisty — w wielki świat, Londyn zmanierowany wielkimi sławami — na ogół przyjął młodego pianistę bardzo życzliwie i serdecznie. Cała prasa angielska podkreśla duże wyczucie Chopina w interpretacji stosunkowo bardzo młodego pianisty.

Pierwszy koncert odbył się w dniu 24 czerwca w Royal Festival Hall. Po słynnym Albert Hallu — jest to druga sala koncertowa — na blisko 3.000 miejsc.

Harasiewicz wystąpił pierwszy raz z londyńską symfoniczną orkiestrą pod dyr. Hugo Rignold. W pierwszej części koncertu nasz pianista odegrał koncert fortepianowy Chopina Nr 2, w drugiej części — koncert fortepianowy Rachmaninowa.

Niestety w tym koncercie nie wykazał swych dużych możliwości. Orkiestra pod dyr. Rignolda częściowo zagłuszyła delikatne tony Harasiewicz. W krytykach wytknięto właśnie te błędy dyrygentowi, jak również Harasiewiczowi zbyt delikatne uderzenia. Ogólnie biorąc — nasz młody pianista wyszedł szczególnie na łamach prasy brytyjskiej.

Drugi koncert — recital chopinowski, — przy pełnej sali — był olbrzymim sukcesem artysty. Harasiewicz został nagrodzony rzesistymi oklaskami i był kilkakrotnie wywołany. Musiał też dać nadaddatki, które wywołały zachwyt widowni.



Harasiewicz wystąpił również w Telewizji BBC ze studia w Manchesterze. Grał koncert fortepianowy Rachmaninowa. Przez cały czas transmisji kamera była skierowana na palce artysty, który zaimponował swoją techniką gry no i opanowaniem i urodą.

„Times” z dnia 1 lipca podkreśla doskonałą grę artysty pisząc: zwycięzca w konkursie Chopina w Warszawie w roku 1955 wystąpił z recitalem chopinowskim w Royal Festival Hall, gdzie wykazał, mimo pewnych niedociągnięć wynikających z jego młodego wieku (liczy zaledwie 25 lat), że umie naprawdę grać Chopina. Jego umiejętności interpretacyjne w wykonaniu utworów Chopina muszą się jeszcze rozwijać, nie mniej należy mieć nadzieję, że nigdy nie straci swego pełnego uczucia do instrumentu. Krytyk „Timesa” podkreśla jeszcze cudowną szybkość palców i delikatność gry.

Wspomnieć również należy, że w tej to sali wystąpiła przed kilku laty Halina Stefanińska, Witold Małcużyński, Artur Rubinstein, Natalia Karpowa i Niedzielski.

Harasiewicz swym występem w Londynie powiększył zespół odtwórców Chopina na najwyższym poziomie.

ANTONI WASILEWSKI

MEDYCYNĄ

Nowa metoda wykrywania gruźlicy

Uzyskanie krótkiego wywiadu z dr Szymonem Kośmiderskim twórcą nowej metody wykrywania prątków gruźlicy, nie należy do rzeczy łatwych. Spokojna praca uczonego w zaciszu laboratorium należy dziś bowiem do przeszłości: telefony, posiedzenia, konsylia, zajęcia, a czasem wściebicy dziennikarzy, odrywają od pracy badawczej.

Toteż, uzbrojony w cierpliwość i fałchową lekturę medyczną, spokojnie oczekiwałem doktora Kośmiderskiego. Specyficzna, a przenikliwa woń środków odkażających oraz pełna treści tablica z krótkim napisem: „Oddział chorób płucnych” skłoniły mnie niebawem do smutnych rozważań na temat odwiecznego wroga ludzkości — gruźlicy.

Hinduskie księgi Wedy, jak również stare papirusy egipskie przekazały nam czasom opisy chorób gruźlicy, zaś mumiie egipskie noszą ślady gruźlicy kostno-stawowej. Znana wszystkim nazwa „tuberculosis”, po polsku „gruźlica”; pierwszy wprowadził w XVI wieku do medycyny Duńczyk, nazwiskiem Sylwius. Jako chorobę zakaźną, uznano gruźlicę już w II wieku n. e.

Jakkolwiek gruźlica znana była już od wieków, to jednak zarazek jej, został wykryty stosunkowo niedawno, gdyż w 1882 roku przez Roberta Kocha.

Pod mikroskopem prątek gruźlicy (wymiar 1—4 mikronów × 0,5 mikrona) specjalnie zabarwiony, wygląda jak cieniutka, delikatna czerwona pałeczka. Wszystkie cechy rodowodu prątków błędna jednakże w porównaniu z ich zjadliwością. Wystarczy chyba, jeśli wspomnę, że wymienia się je w towarzystwie zarazków, trudu! Prątki gruźlicy barwią się dość trudno, zaś barwnik wprowadzony do wnętrza komórki nie daje się usunąć ani działaniem silnych kwasów, ani też alkoholu. Zadziwiająca jest niezwykła wytrzymałość prątków na działanie gorąca, mrozu, wysychania. W stanie wysuszonym prątki zachowują żywotność w ciągu kilku miesięcy, zaś ogrzewane w suchej atmosferze do 100 stopni wytrzymują przez godzinę. W temperaturze 0 stopni można je przechowywać niemal przez rok.

Prątki zabija w ciągu kilku minut tylko gorąca para wodna i światło słoneczne.



Twórca nowej metody wykrywania prątków gruźlicy — dr S. Kośmiderski.

Oddajemy teraz głos dr S. Kośmiderskiemu:

Niezwykle ważną rolę w leczeniu gruźlicy odgrywa moment wykrycia choroby. Jeśli gruźlica zostanie wykryta w początkach i leczenie rozpocznie się natychmiast, istnieje wtedy szansa zupełnego wyleczenia pacjenta. Medycyna dzisiejsza dysponuje różnymi metodami wykrywania tej groźnej choroby. Są to: znane powszechnie prześwietlenia promieniami Roentgena, badania bakteriologiczne płwowicy, moczu, kału i płynu mózgowo-rdzeniowego. O ile pobrany materiał zawiera dużo prątków gruźlicy, wówczas postawienie diagnozy nie przedstawia większej trudności. W innych wypadkach, gdy prątków jest mało, badanie mikroskopowe daje wyniki niepewne. Stosuje się wówczas tzw. homogenizowanie i odwirowanie badanego materiału.

Podkreśliłem wyżej znaczenie szybkiego ustalenia diagnozy. Pozostałe, dotychczas znane metody: hodowlana i biologiczna wymagały oczekiwania na wynik od 6 dni do 6 tygodni. Ten fakt właśnie — cią-

nie dalej dr Kośmiderski — skłonił mnie do opracowania nowej, szybkiej i zarazem pewnej metody wykrywania prątków gruźlicy. Doświadczenia swoje oparłem na kilkuletniej pracy nad elektroforezą bibulową ciał białkowych. Poza tym, cenną wskazówką były dla mnie wyniki badań chińskich uczonych Kang i Kao, którzy wykazali, że prątki gruźlicy posiadają własny ładunek elektryczny.

W skromnym laboratorium katowickiego szpitala M.S.W., ogłądałem pomysły aparat konstrukcji dr Kośmiderskiego. Aparat ten dostarcza prądu stałego o napięciu od 190 do 1500 woltów. Napięcie używane do badań wynosiło 500 woltów, przy natężeniu 100 miliamperów. A oto sama technika wykonania preparatu. Na szkiełku podstawowym, pokrytym częściowo pożywką-agarą (wodorost morski), pozostawia się w środku czystą przestrzeń, wolną od pożywki. Tę wolną przestrzeń zapełnia się tzw. płynem buforowym. Kroplę badanego materiału umieszcza się w linii środkowej płynu buforowego. Następnie, płyn ten poddaje się działaniu prądu elektrycznego w ciągu 2 godzin. Dalsze postępowanie sprowadza się do wysuszenia szkiełka w termostacie i zabarwienia preparatu. Prątki barwią się czerwono, zaś agar błękitem metylenowym. Prątki gro madzą się wszystkie na progu agarowym w jednej linii, przy biegunie dodatnim.

Dr Kośmiderski nazwał nową metodę mikroelektroforezą prątków gruźlicy. Dzięki prostocie, pewności wyników i stosunkowo nie drogiej aparaturze, opisana metoda zdobywa sobie coraz większe zainteresowanie i uznanie wśród lekarzy-fizjologów i bakteriologów oraz w sanatoriach przeciwgruźliczych.

Podczas niedawnego pobytu w Szwajcarii, dr Kośmiderski nawiązał kontakty z uczonymi zagranicznymi, którzy zaprosili go do wygłoszenia szeregu odczytów na temat swojej nowej metody.

Tak więc wyścig medycyny z czasem w walce o zdrowie chorych został zwycięsko zakończony, a nauka polska odniosła nowy sukces.

JERZY KWIETNIEWSKI

CO CZYTAĆ

NA ODMIANĘ ZAJMIEMY SIĘ DZISIAJ KSIĄŻKAMI JEDNEGO WYDAWNICTWA: WYDAWNICTWA LITERACKIEGO W KRAKOWIE.

Na początek parę pretensji. Dlaczego np. WL specjalizuje się w wydawaniu sztuki, które nie ujrzały jeszcze sceny? Przecież miarą znaczenia dramatu jest jego próba ogniowa w teatrze. Wyjątek stanowią „Dziady” Mickiewicza, które acz nie wystawione przed wydrukowaniem, były i są dziełem genialnym. Trudno natomiast posadzić o taką genialność „Żelazne obrączki” Barnasza, czy bardzo interesującą sztukę Mariana Prońskiego „Sąd nie śpi”. Wydaje nam się jednak, że lepiej papier zużyty na wydanie owych sztuk scenicznych przeznaczyć na inne wydawnictwa bardziej interesujące. Uważam np. że sprawozdania literackie Promińskiego drukowane w „Życiu Literackim” bardziej nadają się do wydania, niż sztuka pt. „Sąd nie śpi”.

Chyba że Wydawnictwo ma specjalnego nosa i rzeczywiście wydane przezeń sztuki sceniczne będą stanowiły rewelację. Dla rewelacji warto ryzykować.

Interesujące jest wydawnictwo „Kraków — studia nad rozwojem miasta” pod redakcją prof. Jana Dąbrowskiego. Z punktu widzenia materiałowego: dat, odkryć, uporządkowania chronologii — książka jest bardzo interesująca. Brak jej jednak czegoś co nazywamy jednolitym ujęciem tematu. Zdaje sobie sprawę, że w dzisiejszym stanie rozwoju nauk, daleko idącej specjalizacji trudno jest jednemu człowiekowi napisać na ten temat książkę. Ale powiem szczerze — wolalbyem pozycję mniej poprawną natomiast ujmującą sprawę w jednym, indywidualnym aspekcie. Dlatego niezmiernie cieszę się, że wyjdzie w WL „Sztuka Krakowa” Dobrowolskiego, natomiast szacowne dzieło zbiorowe „Kraków — studia nad rozwojem miasta” będą mi służyły jako kopalnia materiałów, nigdy zaś jako interesująca lektura.

Stefan Kisielewski wydał w WL „Z muzyką przez lata”. Są to jego studia, artykuły, recenzje i felietony pomieszczone swego czasu w „Tygodniku Powszechnym”, „Znak”, „Ruchu muzycznym”, „Muzyce”, „Twórczości” i w pro-

gramach muzycznych. Kisielewski pisze w swojej książce: „Trudno, pretendować dziś do sądów obiektywnych i ponadczasowych, dziś gdy rozwój techniki kompozytorskiej pędzi naprzód susami, gdy sytuacja w muzyce zmienia się z roku na rok jak w kalejdoskopie, gdy dzisiejsi młodzi „elektronowcy” i „punktualniści” ogłaszają Bartoka, Strawińskiego czy Schoenbergów za noblistów, konserwatywnych dziadków, a z nowatorów, którzy przyświecałi mojej młodości uznają jedynie Antoniego Webern. To zastrzeżenie Kisielewskiego jest dowodem skromności tego znakomitego teoretyka muzyki i kompozytora. Jego artykuł np. o Ravelu czy o Schoenbergu są to właściwie pozycje jedne w naszej literaturze muzycznej. Równocześnie zaznaczyć należy, że książka „Z muzyką przez lata” charakteryzuje się szerokim ujęciem tematów muzycznych. Kisiel z równą swobodą obraca się między utworami Bacha, Mozarta i Ravela jak i między publicystyką teoretyczną z zakresu estetyki. Dodajmy, że autor jest kompozytorem uwielbiającym jazz. Wystarczy by książkę przeczytać z zainteresowaniem.

„Dialogi” Stanisława Lema o zmartwychwstaniu atomowym, o filozoficznych korzyściach ludzkości, o smutku w próbowce, o psychoanalizie cybernetycznej, o konstruowaniu geniuszów i wiele innych — to próba spojrzenia pisarza na współczesny stan nauk ścisłych i filozofii. Dialogi, które wiodą między sobą Filonous i Hylas są interesujące chociażby dlatego, że w Polsce brak jest tłumaczeń autentycznych, z pierwszej ręki pochodzących — książek dotyczących nauki i filozofii.

Z wznowień, które wydało WL należy zasygnalizować „Opowieści dziewczęce” w opracowaniu Stanisława Wasylewskiego, które wyszły przed wojną w Wydawnictwie Polskim w roku 1920. Są to arcyinteresujące usteypy pamiętników młodych pań z lat 1776-1866. Zbieżność ideów młodych pańien z wiekiem XVIII, XIX i XX jest zastanawiająca.

Redaktorzy WL wydali „Nowele wybrane” Sygietyńskiego. Jest to po „Wysadzonem z siodła” i „Na skałach Calvados” trzecia książka doskonałego naturalisty polskiego, jaka została wydana w ciągu ostatnich czterech lat. Brawo konsekwencja. Czas teraz pomyśleć o zbiorowym wydaniu dzieł Sygietyńskiego.

dwuznacznie popierają oni chuligański wybrzyk krakowskiego — he, he! — Paganiniego, pana Stanisława Taurosa, zabawnie kpiąc z tego, iż ordynarnie pobity przez Taurosa recenzent dochodził pretensji na drodze sądowej.

Oryginalne to stanowisko! Jeżeli jednak muzykolodzy z „Ruchu” popierają bicie po twarzy, to niechże pamiętają, że i oni też posiadają — jeśli można się tak wyrazić — twarz. Jutro artyście Taurosowi może nie spodobać się recenzja w „Ruchu” i — co wtedy?

Sezon w naszych placówkach koncertowych zamarł na okres letnich miesięcy. Wiadomo jednak, iż żaden meloman pełnych dwu miesięcy bez muzyki nie przetrzyma — toteż tym większa odpowiedzialność spada obecnie na radio. Program muzyczny w Polskim Radio powinien być oszalałamiący i... właściwie bardzo mu do tego niedaleko. Dopiero niedawno wysłuchaliśmy Strawińskiego „Żywota marnotrawcy”, ostatnio zaś nieznanego u nas utworu Jolivet’a — Koncertu na trąbkę, fortepian i smyczki. W związku z tym warto jednak przypomnieć, że zbyt mało miejsca w programie poświęciliśmy twórczości znacznie popularniejszego kolegi Jolivet’a — Olivierowi Messiaen. Stanowczo można by kiedyś nadać cały koncert złożony wyłącznie z nagrań jego przedziwnych kompozycji.

Pisano już u nas o nakręcaniu filmu o jazzie, z zespołami Hot-Club Melomani i sekstetu Komedy. Młodzi zakrzatneli się koło tego zwawo, doprowadzili swe przedsięwzięcie do skutku i — jak sadzimy — rezultat będzie bardzo interesujący. Szkoda natomiast, że nie powstają u nas krótko lub średnio-metrażowe filmy z udziałem zespołów symfonicznych. Filmy takie przedstawiały by wykonanie jakiegos efektownego utworu lub obrazowały pracę zespołu nad rozwiązaniem jakiegos muzycznego problemu (np. można pokazać na filmie dokładną pracę dyrygenta i orkiestry przy nagrywaniu muzyki... do filmu) itd. Na pewno spotka się coś takiego z wielkim zainteresowaniem — trzeba tylko spróbować... A prób tego typu, nie było u nas bodajże od pamiętnego sfilmowania wykonania zabawnego skadnad Poematu o Stalinie Chaczaturiana. pod dyrekcją... zapomniałem już kogo.

ANKIETA

1. Gdzie tkwią źródła spekulacji?
2. Jakimi metodami i środkami należy ją zwalczać?
3. Jak karać spekulantów?

Prof. dr WŁADYSŁAW WOLTER (katedra prawa karnego)

1. Nie uważam za spekulację tego wszystkiego, o czym traktuje dekret. — Wylaczam spod pojęcia spekulacji — oszustwo.

Spekulacja — to zerowanie na głodzie towarowym przez włączenie niepotrzebnego ognia pośrednika. Dołączają się do tego i pewne nawyki z okresu okupacji, w którym spekulacja była bohaterstwem. Dalszym czynnikiem jest pewne stępienie i niewrażliwość społeczeństwa jako relikty okresu powojennego.

2. Działalność represyjna na odcinku przestępstw gospodarczych to ultima ratio. Najpierw należy zastosować prewencję (usunięcie źródła przestępczości), a następnie represję.

Skuteczność walki ze spekulacją zależy od tego, w jakim stopniu prewencja będzie szła w parze z represją. Osobiście nie wierzę w skuteczność drańskich kar. Ważniejsza bowiem od drańskich kar, jest rzeczywista realizacja postanowień karnych poprzez wykrywanie, ściganie i karanie przestępców.

3. Spekulacja to problem skomplikowany i nie można go rozwiązać za pomocą jakiegos jednego środka. Przy wymierzaniu kary zawsze zastanawiałym się, kto jest tym spekulantem; czy żona robotnika stojąca w ogonku z dzieckiem na ręku, aby zdobyć kilogram cytryn, celem dalszej odprzedaży po wyższej cenie, czy też nie pracujący pasażer społeczeństwa. W tym drugim wypadku należy mocno uderzyć.

STANISŁAW RĄB (kupiec)

1. Popyt i podaż regulują rynek towarowy. Jeżeli podaż nie nadąża za popytem — powstają warunki do spekulacji.

Kupiec prywatny (zwany zbyt często spekulantem) posiada koncesję na prowadzenie danej branży, ale nie

ma prawa zakupienia żadnego towaru w hurtowni państwowej. Szuka więc towaru pozabranzowego, co prowadzi do nielegalnych transakcji.

2. Kupiec prywatny nie powinien prowadzić, ani przechwytywać artykułów, których nie może nabyć w hurtowni. Odnosne władze nie powinny natomiast udzielić koncesji, jeśli wiedza, że zdobycie artykułu drogą legalną jest mocno utrudnione. To przecież prosta droga do spekulacji.

3. Mam wątpliwości, czy środki karne poprawią naszą sytuację rynkową. Ale wielkich spekulantów i przemysłników — karać!

Prof. dr WITOLD KRZYŻANOWSKI (ekonomista)

1. Źródłem spekulacji jest rozprężenie moralne społeczeństwa będące następstwem wojny. Dołączają się do tego niewłaściwy układ cen i rozbieżność między siłą nabywczą ludności, a zasobami towarowymi (zwł. towarów atrakcyjnych.)

Nie bez wpływu pozostaje tutaj i duża siła nabywcza wsi.

2. Na odcinku zwalczania spekulacji należy stosować zarówno środki gospodarcze, jak i administracyjne. Głód na artykuły atrakcyjne staramy się zaspokoić przez zwiększenie importu i ustawienie gospodarczo uzasadnionych cen na te artykuły.

Nie należy dopuszczać do zwiększenia siły nabywczej, nie mającej pokrycia w masie towarowej. Wskazana jest zatem oszczędność budżetowa oraz gromadzenie oszczędności indywidualnych.

Zjawisko spekulacji zmaleje (a może zniknie), jeżeli zacznie się oplać wydajna praca.

3. Przed uregulowaniem systemu cen i dostarczaniem odpowiedniej ilości towarów — nie wolno dopuszczać do bogacenia się pewnych jednostek drogą spekulacji. Za spekulację należy niewątpliwie karać, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Ale należy pamiętać, że kara administracyjna zwalcza zewnętrzne groźne symptomy choroby społecznej, lecz nie zwalcza źródła choroby.

MICHAŁ GÓRNIAK — konsument z „ogonka” (robotnik).

1. Dać więcej dobrego towaru, a spekulanci sami się „wykończą”.

2. Dobrac się najpierw do tych grubszych spekulantów i marnotrawców naszych surowców, bo oni przynoszą największe szkody państwu. Ożywiłbym handel prywatny i rzemiosło, które zwiększyłoby ilość brakujących na rynku towarów.

3. Karać spekulantów pracą przymusową.

EUGENIUSZ HORNIKI (dyrektor MHD).

1. Źródłem spekulacji jest przede wszystkim niedostateczne zaopatrzenie rynku, które stwarza odpowiednie warunki do uprawiania spekulacji. Brak dostatecznej masy towarowej nie zawsze jest równoznaczny z brakiem surowców do produkcji. Często jest wynikiem brakoróbstwa i niedoleństwa producenta, nie posiadającego należytego rozeznania potrzeb konsumenta („bubble” zalegające magazyny).

Sprzyja spekulacji brak trwałego oznaczania towaru, co prowadzi do podmiary asortymentów. W Czechosłowacji np. nawet na skarpety wybita jest trwała cena.

2. Widzę tutaj dwie metody: ekonomiczną, t. j. lepsze zaopatrywanie i uporządkowanie rynku towarowego oraz metodę konsekwentnego stosowania wobec spekulantów, przewidzianych dekretem środków represyjnych.

3. Należałoby, moim zdaniem, w jakiś sposób ukarać najpierw nasz przemysł i handel, bo na pewno nie zrobiliśmy wszystkiego aby ograniczyć do minimum możliwości spekulacji.

Nie jestem zwolennikiem zbyt surowych środków represyjnych, które mogą spowodować tylko, głębsze zakonspirowanie spekulantów.

INSPEKTOR PIH (nazwisko znane redakcji).

1. Mienie społeczne wciąż jeszcze powierza się jednostkom nieuczciwym, a nawet karanim niejednokrotnie dyscyplinarnie. Ich współtowarzysze nie reagują na czynny spekulacyjny w myśl zasady „dzis ty — jutro ja”, tak samo jak i reakcja konsumenta jest bardzo słaba. Tak więc niska moralność społeczeństwa sprzyja spekulacji. Ponadto odczuwa się brak nadzoru ze strony organów nadzórnych oraz liberalne ustosunkowanie się poszczególnych dyrekcji wobec wykroczeń pracowników.

2. Należy dokonać wyboru ludzi o wysokim poziomie etyczno-moralnym (odbywająca się obecnie w handlu weryfikacja często ogranicza się do usunięcia niewygodnych pracowników).

Nie uganiać się za człowiekiem pobierającym dwa złote więcej za cytrynę, lecz skierować ostrze walki przeciwko wielkim malwersantom i spekulantom. W tym celu należy zwiększyć aparat kontroli.

3. Dotychczasowe kary nie trafiają w sedno i nie uzdrawiają sytuacji, bo zarówno prokuratura, jak i kolegia orzekające podchodzą do tego zagadnienia zbyt liberalnie. Potrzebne są środki surowsze.

MUZYKA

„RUCH” POPIERA BICIE...

Trzeba przyznać, że oczekując powstania nowego pisma muzycznego, życzyliśmy sobie przede wszystkim — aby było bojowe. Wiemy przecież ile nieporozumień, ile złej woli i ile głupoty zaciążyło na niedawnym okresie życia muzycznego w Polsce. Wiemy ile zostało jeszcze spraw proszących się niemal o zajęcie wobec nich stanowiska (choćby beznamiętna gospodarka filharmoniami, skandal z Operą Warszawską, propaganda naszej muzyki zagranicą, ponowne dochodzenie do głosu tych, którzy rozwój naszej muzyki przez ostatnie kilka lat hamowali — exemplum: list Rudzińskiego w „Przeglądzie”). Zdawało się nam, że owe 32 strony pisma pęcznić będą od natłoku poruszanych w nich problemów.

I „Ruch” przyjął rzeczywistość z miejsca aktywną postawę. Zaczął walczyć... niesieć nie o rozwiązanie którejkolwiek z podanych wyżej, dość chyba istotnych zagadnień. Przede wszystkim zaczął walczyć z... recenzentami i publicystami muzycznymi nie wchozącymi w skład szciscoosobowego kolegium „Ruchu”. Nie wiem czy rozumiecie dobrze arcysubtelny ton tego małego lecz czupurnego pisemka? Wyobraźcie więc sobie, że ukazuje się w Polsce nowy tygodnik, który nie zajmuje się na razie problemami ekonomicznymi, kulturalnymi itd., lecz systematycznie „rozklada” dotychczas istniejące w Polsce tygodniki. Umawia więc uparcie, iż „Nowa Kultura” to pila do wyrzucenia, „Przegląd” redagują półgłówki, „Przekrój” to stek bzdur itd. itd. Otóż — „Ruch” postępuje mniej więcej właśnie tak.

„Zdarzenia” o wielu sprawach mają na ogół inne zdanie, niż recenzent muzyczny krakowskiego „Dziennika Polskiego”. Nie możemy jednak zgodzić się z wycieczkami (...Pocę się na całej swej długiej powierzchni... — pisze autor) pana Adama Walacińskiego (pan Adam wybacz — ale to on zaczął od przedstawiania kto kim jest) jakimi zareagował „Ruch” na dokonania przez „Dziennik”, bodajże pierwszą w naszej prasie ocenę „Ruchu muzycznego”. Przypuszczamy zresztą, iż nie jest to ostatnie słowo dziarskich muzykologów z „Ruchu” w wycieczkach bowiem nie-

FILM

„Czarna teczka”

kryminalny film reżyserii Andre Cayatte’a odznaczony specjalną nagrodą jury Festiwalu Filmowego w Cannes w 1954 roku. W filmie biorą udział aktorzy włoscy i francuscy tej miary co Lea Padovani, Daniele Delorme, Bernard Blier,

Antonine Balpatre, Jean — Marc Bory i inni niemniej głośni, tworząc kreacje bohaterów głośnego skandalu korupcyjno-obyczajowego, jaki wydarzył się współcześnie w małym prowincjonalnym miasteczku. Młody sędzia śledczy Arnaud prowadząc sprawę truciela psów Titcha natrafia na ślad zbrodni i... „czarnej teczki”, która zniknęła. W teczce znajdowały się dowody kompromitujące miejscową społeczność, głównie energicznego potentata finansowego Bousarda. Gilbert Le Guen, człowiek, który dowody przeciw Bousardowi przechowywał w czarnej teczce, w tajemniczych okolicznościach niespodziewanie zmarł. Zachodzi podejrzenie zbrodni, której rozszyfrowaniem zajmuje się, w trzech różnych kierun-

kach, sędzia śledczy Arnaud, specjalnie dla tej sprawy przybyły z Paryża komisarz policji Noblet oraz policja miejscowa. Śledztwo ujawnia bagno korupcji, nadużyć i wymusza praktykowane przez Bousarda jego kliki.

Dochodzenie przeprowadzane różnymi, nie zawsze zgodnymi z prawem metodami, ujawnia w końcu aż 3-eh winnych otrucia Le Guen. Lecz właściwe powody śmierci ujawnia dopiero młody sędzia Arnaud, a film jest okazją do pokazania ohydnych metod śledztwa (obrazek jak, by z niedawnych naszych czasów), których kulisy Cayatte jako równocześnie prawnik i reżyser w mistrzowski i emocjonalny sposób w filmie odsłania.



FRANCUSKA CHAŁA

Hotel „Francuski”, bez wątpienia najelegantszy i najbardziej reprezentacyjny w naszym mieście — na okres Świąt Wielkanocnych zamknął gościnne podwoje swojej restauracji. W rezultacie tego wysoce dyplomatycznego posunięcia, liczni goście (a w ich liczbie członkowie ambasady brytyjskiej i amerykańskiej, z ambasadorem, mr Jacobsem na czele) poznali miłe strony naszego codziennego życia, przyjemnie spędzając czas w kolejkach do sklepów, gdzie zaopatrywali się w pieczywo, masło, dżemy itp. Rekord zapobiegliwości pobił korespondent „Washington Post”, dźwigając do hotelu dwie potężne (i oczywiście nie zapakowane) chały.

ZNAMY TEN BÓL...

Jeden z punktów regulaminu pocztowego obowiązującego w Wielkiej Brytanii, brzmi: „Telegramy muszą być redagowane w zrozumiałym języku. Nie dotyczy to telegramów urzędowych”.

NERWOWYM — POD ROZWAGĘ

W starożytnej Grecji, osobom, które zatruty się grzybami, lekarze przepisywali jako lekarstwo gruszkę, lub popiół z drzewa gruszkowego. W średniowieczu uważano gruszkę za środek uspokajający.

POBOŻNA ŻONUSIA

Pewien kupiec amerykański otrzymał rozwód na podstawie zarzutu, że od 6 lat żona codziennie wieczorem odmawiała głośno na kłęczkach modlitwę, którą kończyła wezwaniem do Boga, aby zabrał sobie jej męża tej właśnie nocy.

CZY TO BOLI?

Słynny bokser murzyński Robinson przoczy o pozwolenie zrobienia odlewu ręki, zapytał z przestroją: „Czy to będzie bolało?”

JAK DŁUGO TRWA?

Aleksander Dumas cytuje w swych pamiętnikach dowcipne powiedzenie późniejszego cesarza Napoleona III, który — jeszcze jako książę — po ucieczce z fortu Ham w 1846 r., został skazany zaocznie na dożywotnie więzienie. Gdy mu o tym przyjaciele donieśli, zapytał: „A ile trwa dożywocie we Francji?”

KAŻDY KIJ MA DWA KOŃCE

Pierwszym pisarzem, który przekazał swojemu wydawcy materiał do druku przepisany na maszynie, był Mark Twain. Niestety, wkrótce potem zrezygnował on z tej nowej zdobyczy techniki, ponieważ jak mówił — „korespondując ze znajomymi otrzymywałem tak wielką ilość pytań nie tylko na temat samej maszyny, ale również i moich postępów w nauce pisania, że wyprowadziło mnie to z równowagi”.

Pierwszym pisarzem europejskim, który użył maszyny do pisania, był Lew Tołstoj.

GDYBY ADAM O TYM WIEDZIAŁ...

W Indiach rośnie trawa, która odpędza węże i moskity. Nazywa się Melinus Minutiflora beauy, jest niezwykle bogata w proteiny i stanowi doskonałą paszę dla trzody.

ŚPIĄCY KONIK

Niemiecki miesięcznik „Das Magazin”, przeprowadził ostatnio ankietę, której jedno z pytań brzmiało: Jakiej jest twoje „hobby”? (konik). Odpowiedź Yves Montand: spanie.

NIECH ŻYJE S. P. NIEBOSZCZYK!

Zmarły niedawno w Turynie Giovanni Bertolo zapisał w testamentie ośmiu swoim kolegom, którzy nieśli podczas pogrzebu jego trumnę — dożywotnią rentę w postaci 100 litrów wina rocznie.

AMERYKA ŚLEPNIE?

W 1956 r. w USA 27 tysięcy osób straciło wzrok. Alarmujące jest, że cyfra ta z roku na rok się zwiększa.

SUKNIA — KAMELEON

Pewien krawiec w Hollywood uszył suknię, która może dowolnie zmieniać barwę: wystarczy ją wyplukać w specjalnym odczynniku, a potem zanurzyć w wodzie z barwnikiem, który materiał natychmiast łatwo przyjmuje.

LOGICZNY KLIENT

Pewien humorysta francuski wchodzi do sklepu z napisem: „Wszystko dla pałaców” i prosi sprzedawcę o parę mokasynów. „Ależ my nie sprzedajemy obuwia, proszę pana, tylko artykuły dla pałaców” odpowiada ekspedient. „Jak to, czyżby pałacy nie potrzebowali obuwia?”

Taaakie buty...

Postawcie obok siebie na wystawie sklepu z obuwiem dwie pary butów. Jedną produkcji krajowej, a drugą zagranicznej, rychło w sklepie zjawi się tłum amatorów na buty, oczywiście te zagraniczne. Choćby były nawet droższe i gorsze od tych krajowych. A i to bywa.

Prawdopodobnie wychodząc z tego założenia nasi specjaliści od handlu zagranicznego postanowili obdarzyć w roku bieżącym krajowy rynek trzema milionami par butów importowanych. Byłoby to tak z grubszą biorąc import o 100 proc. większy niż w roku ubiegłym. Mimo że równocześnie import skór łącznie z zaopatrzeniem krajowym nie pokrywa zapotrzebowania na surowce naszego przemysłu obuwniczego.

Zdrowa kupiecka zasada powiada, że zawsze lepiej opłaca się importować surowce aniżeli wyroby gotowe. Lepiej, bo za surowce płaci się mniej, za wyroby gotowe więcej.

Jeśli jednak w ostateczności nie sprwadzimy w tym roku 3 milionów par butów, a tylko najwyżej 60 proc. z tego, to bynajmniej nie z tej racji, że o tej zdrowej kupieckiej zasadzie przypomniał sobie nagle nasi specjaliści od handlu zagranicznego. Po prostu powstała trudność w ułokowaniu za granicą zamówień na buty. Dewizy jednak zostały i tylko dzięki temu zdecydowano się na większy import skór.

Wobec faktów, że nasze zakłady przemysłu obuwniczego odczuwają stały niedostatek surowców byłoby to zjawisko niezmiernie pozytywne, gdyby... gdyby nie fakt, że ów dodatkowy import skór w ogromnej części pójdzie na zaspokojenie

potrzeb naszych szewców indywidualnych i spółdzielczych.

Dlaczego? Nasi handlowcy nie mają zaufania, zresztą częściowo słusznie, do państwowego przemysłu obuwniczego. Powiadają: szkoda dla niego dobrych skór, bo i tak zrobi z nich buty kiepskiej jakości. A w każdym razie na pewno gorsze od tych, jakie robią szewcy-remiennicy.

Kalkulacja ta na pewno jednak nie powinna odnosić się do takich zakładów jak Południowe Zakłady Obuwia w Chelmku, które cieszą się najlepszą opinią ze wszystkich zakładów tego typu w Polsce. Cóż z tego, kiedy ta najlepsza opinia bynajmniej nie wpływa dodatnio na zaopatrzenie Chelmka w surowce. Co więcej, zakłady te nie mają żadnego wpływu na zagraniczne transakcje handlowe dotyczące skór.

Wydawałoby się, że tak poważny zakład powinien mieć swego przedstawiciela w misjach handlowych, które zajmują się tego rodzaju importem. Cóż kiedy i na tym polu zdrowy rozsądek sobie, a życie sobie. I potem dzieje się tak jak np. ostatnio z dostawą mikro gumy. A jakże mikro gumy przyszła, a dlaczego nie nadawała się na buty, a tylko na obijanie ścian celem izolacji pomieszczeń budynku od wilgoci i hałasu — to już pozostanie tajemnicą naszych speców od handlu zagranicznego. A takich niespodzianek przysparzają oni producentom obuwia znacznie więcej. Nie tylko oni zresztą. Nasze garbarnie i wytwórnie barwników do skór również mają tutaj swoje ciemne kąty. Co z tego np. że sprwadzimy partię wysokogatunkowych skór surowych, skoro z naszych garbarń wychodzą one często jako tzw. III gatunek.

Nie powinno to być argumentem przeciwko importowi skór, ani argumentem uzasadniającym konieczność importu butów zagranicznych. Jest to przede wszystkim argument przemawiający za tym, że na pewno lepiej byłoby nareszcie większą opieką otoczyć cały nasz przemysł obuwniczy, tak ażeby otrzymywał odpowiednie surowce, a wypuszczał produkty wysokiej jakości i różnorodnych asortymentów.

B. M.

HUMOR

DOWÓD TOŻSAMOŚCI

W czasie obiadu w pewnej większej restauracji krakowskiej przybiega kierownik lokalu do gościa, który głośno narzeka, że po zjedzeniu zupy musi czekać pół godziny na mięso.

— Czy szanowny pan może mi wskazać kelnera, który go obsługuwał?

— Jestem przyjezdny i nie znam tutejszej obsługi. Ale — mówi gość pokazując talerz — może go pan poznać po odciskach palców pozostawionych na talerzu, z którego ja — dziełem zupę...

PRAWDZIWA ATRAKCJA

— Szalenie lubię koncerty symfoniczne.

— Nie wiedziałem, że pan jest tak muzyczny.

— Skądże znowu, nie o to idzie!

— A więc o co?

— Widok tylu kobiet, które podczas koncertu siedzą obok siebie i nic nie mówią, stanowi dla mnie prawdziwą atrakcję!

NIEZWYKŁA OSOBLIWOŚĆ

Turysta w małym miasteczku zapytuje: — Macie tu jaką osobliwość?

— Owszem, owszem, jest..

— Cóż takiego?

— Ta ławka na skwerku przed domem rady powiatowej.

— Cóż w niej takiego osobliwego?

— Stoi już prawie rok i nikt jej dotąd nie ukradł..

DOBRY POMYSŁ

Do pracowni jednego z krakowskich portrecistów przyszła przekwitająca już elegantka, aby zamówić portret. Podczas rozmowy malarza ogarnęły wątpliwości, które wyłuszczył klientce potrzaskując głową: — Ależ, proszę pani, jakże ja mam zrobić portret na podstawie tych dwóch fotografii, skoro jedna pochodzi z 1935 roku, a druga jest robiona ostatnio.

— Wie pan, a ja myślałam, że będzie można namalować twarz według pierwszego zdjęcia, a suknię z drugiego..

MAŁA RÓŻNICA

— Powiedziałeś mi, że Alfred ożenił się z 25-letnią wdową. Wczoraj widziałem ich razem, ale odniosłem wrażenie, że ona jest znacznie starsza..

— Ależ naturalnie!

— Dlaczego więc wprowadziłeś mnie w błąd?

— Nic podobnego! Powiedziałem tylko, że jest 25-letnią wdową, bo od 25 lat nie żyje jej mąż!

WYROSTEK ROBACZKOWY

Pewna młoda aktorka zachorowała na zapalenie wyrostka robaczkowego. Zrobiono jej operację. Po kilku dniach, leżąc na łóżu szpitalnym, artystka zapytuje chirurga: — Panie doktorze, czy ten szew będzie widoczny?

Doktor spogląda przez chwilę na niezabliźnioną jeszcze ranę i mówi: — To będzie zależało wyłącznie od pani..

PESYMISTA

— Co to jest pesymista? — zapytano raz Kornela Makuszyńskiego.

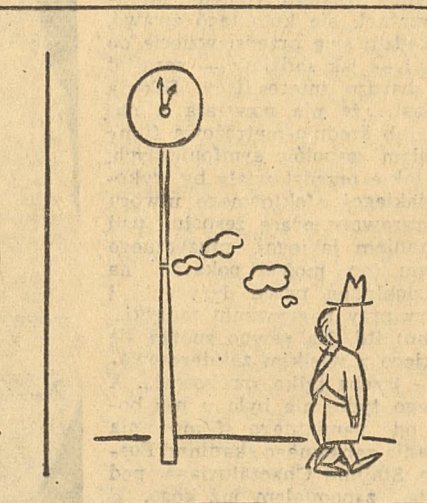
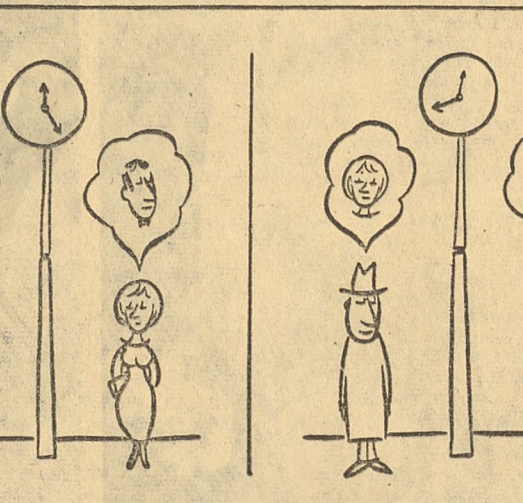
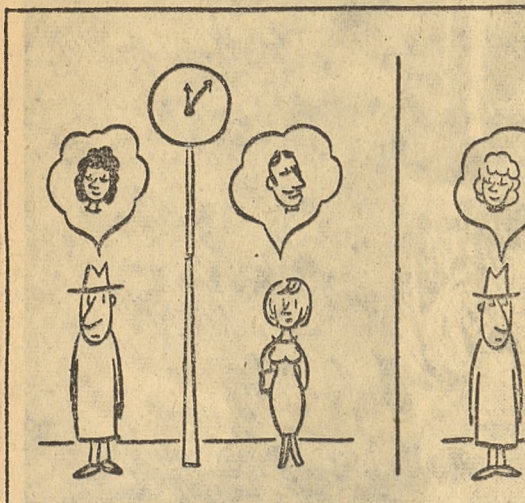
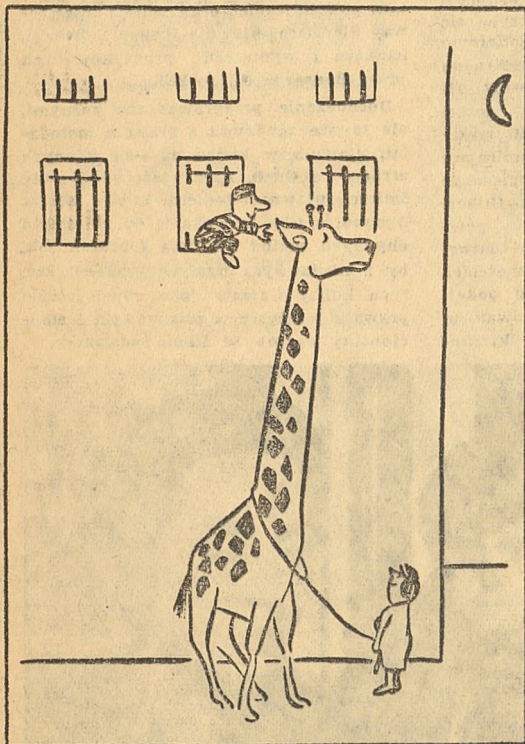
— Pesymista jest to taki człowiek, któremu optymista winien jest pieniądze! — odpowiedział znakomity pisarz.

NADGORLIWIEC

W pewnej prowincjonalnej świetlicy zespół amatorski zamierzał grać znaną sztukę Szekspira „Wieczór Trzech Króli”. Jednemu z dyrektorów fabryki, przy której znajdowała się świetlica, tytuł ten wydał się jednak mocno niedemokratyczny, toteż polecił, aby na afiszu umieszczono go w następującej przeróbce: Doskonała komedia Szekspira pt. „Wieczór Trzech Przewodniczących Rady Zakładowej”.

Zebrał

T. J. W.



HISTORIE

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE (III)

Z końcem maja 1945 roku minister spraw zagranicznych USA Grew, który swego czasu był posłem w Tokio, zaproponował wydanie proklamacji, w której przyrzeczono by Japonii zachowanie cesarstwa. Grew sądził, że w ten sposób umożliwi się Japończykom kapitulację bez konieczności użycia bomby atomowej. Harry Truman uważał propozycję Grewa za „sound idea” (rozsądny pomysł), ale zlekciał. Obawiał się reakcji społeczeństwa amerykańskiego. Ostatecznie postanowił przesunąć ogłoszenie proklamacji aż do konferencji w Poczdamie w drugiej połowie lipca, co oznaczało: po próbie pierwszej bomby atomowej, która wyznaczona została na 16 lipca.

Tymczasem Szilard rozwinął nową akcję przeciwko użyciu bomby. W ośrodkach atomowych kursowały jego petycje, w których podkreślał głównie moralną stronę sprawy. W dyskusjach, które równocześnie rozgorzały, zwracano uwagę Szilardowi, że rzezie, jakie miały miejsce w walkach o Okinawę, będą trwały nadal, jeśli nie zastosuje się A-bomby dla zakończenia wojny. Uczni i pracownicy zakładów atomowych zaczęli się wahać. Redagowano kontrpetycje, w których podkreślano, że „jeśli możemy uratować życie nawet drobnej garstce Amerykanów, to powinniśmy tę broń zastosować — i to natychmiast!”. Ostatecznie generał Grewes zaproponował rozesłanie arkuszy, w wyniku której okazało się, że zwolenników Szilarda jest stosunkowo niewiele, 87 procent odpowiedziało się za użyciem bomby atomowej.

„Babies satisfactory born”

Przed południem, 16 lipca 1945 roku, adiutant wojsk USA wręczył prezydentowi Trumanowi w Poczdamie telegram składający się z trzech słów: „Babies satisfactory born” (Poród dzieci zadowolający), co oznaczało: próba pierwszej bomby atomowej udała się.

Minister wojny USA, Stimson, który oczywiście był obecny podczas próby, oświadczył z ulgą swemu „special assistant” Bundy: Well, byłem odpowiedzialny za wydatkowanie dwóch miliardów dolarów na to przedsięwzięcie atomowe. Teraz, kiedy ono okazało się skuteczne, nie będę przynajmniej siedział w więzieniu.

Narodziny dziecka przebiegały wprawdzie zadowolająco, ale okazało się, że noworodek jest dwa razy silniejszy aniżeli przypuszczano. Oppenheimer szacował jego siłę na 10.000 ton TNT i 20.000 zabitych, w rzeczywistości próba wykazała siłę 20.000 TNT.

„Teraz nie potrzebujemy już Rosjan”

Fakt zwiększonej siły bomby atomowej nie przeraził ani naukowców ani polityków. Natychmiast po próbie bomby atomowej Stimson polecił do Trumanu w Poczdamie. „Naturalnie wobec tak rewolucyjnych wydarzeń cały plan walki z Japonią musiał być na nowo przedyskutowany” — wspominał później w swych pamiętnikach Harry Truman, „Teraz nie potrzebujemy już Rosjan” — powiedział Churchill Trumanowi. Większej zachęty Truman nie potrzebował. Kiedy 24 lipca Churchill zakomunikował mu o decyzji Stalina, że Rosja zamierza w tygodniu po 8 sierpnia uderzyć na Japonię, Truman wydał następujący rozkaz: „Grupa specjalna 509 należąca do 20 floty powietrznej zrzuca swą pierwszą extrabombę, jak tylko stan pogody po 3 sierpnia umożliwi bombardowanie, na jeden z następujących celów: Hiroszima, Kokura, Nagasaki lub Nūgata...”.

Truman nie zapomniał o proklamacji do Japonii, jaka miał ogłosić przed zrzuconiem bomby atomowej, ale tekst jej odbiegał od propozycji Grewa. Zachowanie cesarstwa zostało skreślone, o bombie atomowej nie było mowy, podkreślano natomiast „absolutną ruinę”, jaka czeka Japonię. 28 lipca premier Susuki oświadczył przedstawicielom japońskiej prasy, że proklamacja „niegodna jest nawet uwagi”. Oświadcze-

nie to, mimo że nie było oficjalną wypowiedzią rządu japońskiego, przyjęto jako odmowę kapitulacji.

Z końcem lipca krążownik „Indiana” z ładunkiem dwu bomb atomowych przybył do wyspy-przyczółka Tinian.

„Musimy się modlić”

Od pewnego czasu na wyspie Tinian stacjonowała 509 grupa bombowców, której maszyny typu B-29 były specjalnie przebudowywane. Członkowie 509 grupy zgłosili się dobrowolnie do „specjalnego zadania”, ale o co tu chodziło, nikt nie wiedział za wyjątkiem szefa grupy, pułkownika Tibbetsa.

Wieczorem 5 sierpnia sześć wybranych załóg 509 grupy bombowców zostało wezwane na odprawę. Płk. Tibbets powiedział im: „Dziś nadchodzi noc, na którą wszyscy czekaliśmy... Polecimy, aby zrzucić bombę, która się zasadniczo różni od dotychczasowych... Ta bomba posiada siłę 20.000 ton trinitrotoluenu”. Załogi słuchały ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Cała sprawa nie była prosta. Pola startowe wyspy były za krótkie. Bombowce z normalnym ładunkiem często nie mogli startować i eksplodowały. Co będzie, jak nie wystartuje maszyna z bombą atomową? Z takim pytaniem stanął przed generałem Farvellem, kierującym całą akcją, kpt. Parsons, który miał za zadanie techniczne przygotowanie odlotu. Cała wyspa prawdopodobnie wyleci w powietrze. „Musimy się modlić, aby do tego nie doszło” — odpowiedział generał.

Pewne wyjście jednak znalazło się. Kpt. Parsons postanowił dokonać ostatecznego montażu bomby już podczas lotu. Po pewnych próbach sądził, że mu się to uda. Po południu, przed dniem lotu bomba została dostarczona do bombowca, który płk. Tibbets ochrzcił imieniem swej matki: „Enola Gay”.

O północy omawiano jeszcze szczegóły z załogami „Enola Gay” i dwoma towarzyszącymi maszynami. Na zakończenie protestancki kapłan polowy wypowiedział modlitwę, w której prosił o boską pomoc dla załogi bombowców atomowych: „Ojcze Wszechmogący, który wysłuchujesz modlitw tych, którzy Cię kochają, prosimy Cię o pomoc dla tych, którzy odważają się wznosić w wysokość Twojego nieba i niosą walkę aż do naszych nieprzyjaciół. Strzeż ich i ochraniaj, prosimy Cię, kiedy wypełniają swe lotnicze zadanie. Niech wiedzą tak jak my, o Twojej sile i Twojej potęgze, i niech z Twoją pomocą doprowadzą wojnę do szybkiego końca. Prosimy Cię, aby wojna skończyła się już teraz szybko i abyśmy znów mieli pokój na ziemi”.

„Niech ludzie, którzy biorą udział w tym locie, czują się bezpiecznie pod Twoją opieką i niech wrócą nienaruszeni do nas. Ufajac Tobie pójdziemy dalej naszą drogą; ponieważ wiemy, że tak teraz jak i na wieki stoimy pod Twoją opieką. Amen”.

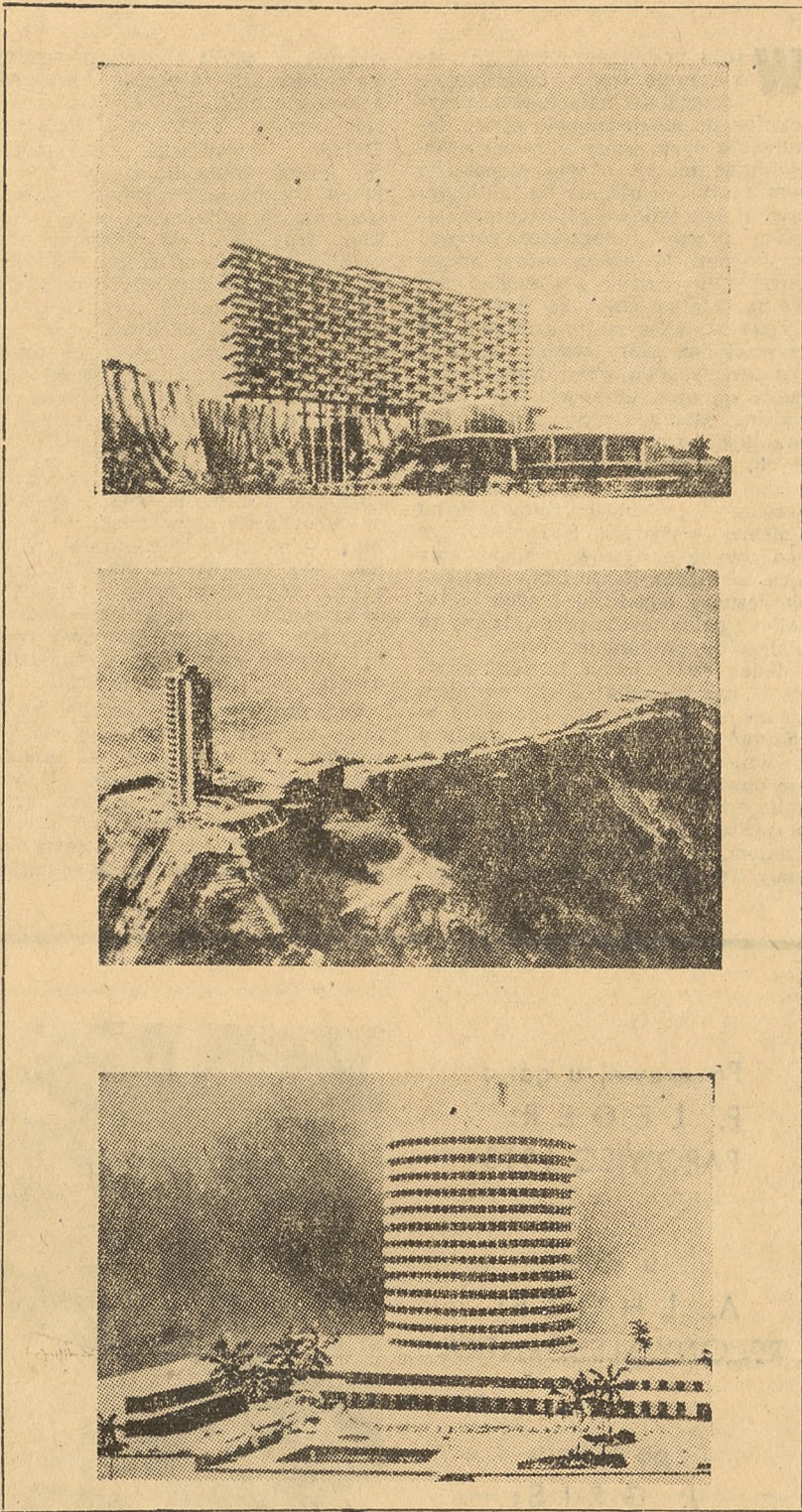
Rano 6 sierpnia o godz. 02.45 wystartowały trzy superfortece. „Enola Gay” dopiero na kilku ostatnich metrach pola startowego uniosła się chwilejnie w powietrze.

Meldunki radiowe samolotów zwiadowczych zapowiadały dobrą widoczność głównego celu. Dokładnie o godz. 8.50 osiągnęła „Enola Gay” japońską wyspę i wzięła kurs na Hiroszimę. O godz. 9.15 środek miasta znalazł się na krzyżu celownika. Bombardier, major Thomas W. Ferebee, wyrzucił bombę. W tym momencie miasto zostało pochłonięte przez chmurę płomieni. O godz. 9.20 przeczółek lotniczy na wyspie Tinian odebrał meldunek „Enola Gay”, który składał się z dwu słów: „Zadanie spełnione”.

Kiedy w pięć godzin później amerykańskie samoloty zwiadowcze przelatywały nad Hiroszimą, była ona jeszcze zupełnie zasłonięta olbrzymimi chmurami dymu i pyłu. Dopiero po upływie 26 godzin po nalocie można było dokonać pierwszych zdjęć z powietrza. „Pokazywały one” — donosił korespondent Laurence — „że Hiroszima prawie zupełnie zniknęła z mapy”. (t. b.)

a. d. z.

ARCHITEKTURA



KOSZTOWNA IMPREZA TRWA

Przyjechało ich do Krakowa jakieś ponad 300 osób. Łącznie z delegatami miejscowymi cała ta zbiorowość liczyła osób 400. Przez trzy dni radzili, spali i jedli za darmo. Oczywiście za darmo, jeśli chodzi o ich własną kieszeń, bo za wszystko płacił Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Terenowego. Zaś impreza o której mowa III Krajowy Zjazd tego Związku kosztował ów Związek ponad 191 tys. zł.

Powiecie, że to wiele? Rzecz względna. Nie takie bowiem wydatki ów Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Terenowego ma na swym koncie. Tylko w pierwszym kwartale br wydał na utrzymanie swego Zarządu Głównego 494.999 zł, zaś na utrzymanie zarządów okręgowych 1.484.000 zł. Trzeba było także coś dorzucić na podtrzymanie egzystencji CRZZ, na ten cel poszło 332 tys. zł. Działalność organizacyjna, konferencje wyborcze w okręgach itp. akcje pochłonęły 427 tys. zł.

Pomyślicie może, że odpowiednio do wielkości tych sum równie okazałe przedstawia się suma wydatków na zapomogi, wczasy, sanatoria. Niestety, już nie wystarczyło zbyt wiele. W pozycji budżetowej na ten cel figuruje skromna cyfra 90 tys. zł. Bo i skąd mogło wystarczyć — na ponad 4 miliony zł. Jakże Związek miał do wydania. Blisko 3 miliony musiał zużyć na utrzymanie własnych egzystencji na tzw. działalność organizacyjną, łączność między narodową itp. sprawy, których przeciętny związkowiec zupełnie nie odczuwa jako czynnika poprawiającego jego warunki bytowe.

Tak to wygląda w skali jednego kwartału, a w skali roku? Właśnie

mamy przed sobą wykaz wydatków tego Związku Pracowników Przemysłu Terenowego z roku 1956, wykaz który zamyka się kwotą 21 milionów zł. Cyfra imponująca. Ile by można dobrego zrobić dla związkowców za taką sumę? Ale coż ponad 2 miliony zł. pochłonięło utrzymanie Zarządu Głównego. Jeszcze więcej, bo blisko 6 milionów utrzymanie zarządów okręgowych, działalność rad zakładowych kosztowała 484 tys. zł. Działalność organizacyjna 786 tys. zł.

Dajmy już jednak spokój wyliczaniu dalszych tego rodzaju pozycji, dość, że na akcje bytowo-socjalne i zasiłki statutowe czyli na te akcje, na które powinno iść najwięcej funduszy związkowych, nie wydano więcej jak blisko 5,5 miliona zł. Wystarczy zestawieć te 5,5 miliona zł z okrągłą sumą 9 milionów zł, którą wydatkowano — krótko mówiąc — na utrzymanie i działalność aparatu związkowego, aby wyrobić sobie pojęcie o działalności Związku, aby dojść do przekonania, że działalność ta ma wręcz karykaturalny charakter. Cyfry mówią same za siebie.

Jeden Związek Zawodowy wydaje u nas 9 milionów zł. rocznie na utrzymanie własnego aparatu, na rozmaite wybory i zjazdy, akcje współzawodnictwa itp. A przecież takich związków i to o podobnej strukturze wydatków mamy w Polsce więcej niż jeden, mamy ich co najmniej 20. Wystarczy dokonać prostego działania arytmetycznego: pomnożyć owe 20 przez 9 milionów, a wyskoczy nam cyfra 180 milionów zł. Cyfra, jaka rokrocznie pochłaniają u nas związki zawodowe tylko dla utrzymania własnej egzystencji.

HOTELOWE NOWOŚCI

Nie mam zamiaru opisywać nowych gigantów architektury wznoszonych przez amerykańskich potentatów hotelowych w rodzaju np. pana Hiltona. Jedno z jego ostatnich arcydzieł — Istanbul Hilton — zaprojektowany przez znakomity zespół projektantów SOM (Skidmore, Owings et Merrill) i wzniesiony w ubiegłym roku w stolicy Turcji, to naprawdę cacko. Hilton, kolos finansowy ma rozległe plany rozwinięcia sieci swych hoteli w Europie zachodniej, co podwoiłoby jego i tak niezłe dochody, które m. in. umożliwiły młodemu Hiltonowi jr. spędzenie ostatnich wakacji w towarzystwie najbardziej uroczej artystki amerykańskiej Elizabeth Taylor...

Pragnę pokazać hotele znacznie skromniejsze. Oto Związek Kucharzy Kubańskich wznosi na skałach portu Trinidad, 15-piętrowy, luksusowy hotel. Liczy on 500 pokoi a koszt budowy wynosi okragle 8 milionów dolarów. Oprócz zasadniczej bryły, dwie koliste przybudówki mieszczą restaurację, klub nocny, kasyno, basen kąpielowy i cały szereg innych drobnych atrakcji.

*

W przyszłym roku oddany zostanie rzeszom turystów nowy hotel na wybrzeżu Florydy. W jego okragłym kadłubie mieszczą się setki identycznych pokoi, z których każdy posiada balkon. Przewidziano oczywiście miejsce na parking, zaprojektowano dwa baseny kąpielowe, kluby, restauracje, dancings. Dla porządku podaję, że Rubaiyat Hotel (taka jest jego nazwa) kosztować będzie 14 milionów dolarów...

*

Caracas, stolica Wenezueli słynie ze wspaniałej modernistycznej architektury swych dzielnic mieszkaniowych. Nową perełką jest wzniesiony ostatnio na szczycie Mt. Avila 19-piętrowy hotel, będący szczytem współczesnego wykintu. Wydawałoby się, że wymagania techniczne znajdującego się tu punktu systemu kablowego „teleferico” uniemożliwią wykonanie dobrej architektury. Jednak projektant uporał się z trudnościami zwycięsko, dając oprócz apartamentów sztuczne lodowisko, dwie restauracje, dancings i w przyszłości stajnię wyścigową. Koszt budowy rekordowy — 45 milionów dolarów.

Ileż to razy słyszy się, jak szeregowy członek Związku Zawodowego powiada: jak to właściwie jest. Płacę miesięcznie poważne składki za przynależność do Związku, a właściwie nie bardzo odczuwam, ażeby ten Związek był faktycznym obrońcą moich interesów, ażeby pomagał mi w poprawieniu warunków pracy, służył pomocą w codziennym życiu. Istotnie kiedy się zestawia ten głos z pozycjami budżetowymi naszych związków okazuje się, że nie jest to głos pozbawiony sensu. Gros składek związkowych zamiast iść na cele, które powinny stanowić istotę działalności związkowej, idzie na utrzymanie samych związków.

Kosztowny to aparat, zbyt kosztowny w porównaniu z tym, jakie korzyści z jego istnienia odnoszą związkowcy. Ale przynajmniej jedno wiemy, my członkowie związków zawodowych, wiemy już teraz, na co idą nasze składki, wiemy, gdzie podziewają się dziesiątki milionów złotych.

Kosztowna impreza trwa. Na wszelkich naradach związkowych głośno i wiele mówi się o tym, że trzeba obniżyć koszty własnej produkcji, że trzeba produkować więcej, taniej i lepiej. Może by związki zawodowe zaczęły od siebie, może by u siebie najpierw zaczęły wprowadzać w życie ów piękny postulat obniżki kosztów własnych? Byłaby to akcja bardzo na czasie. Przyniosłaby więcej pożytku niż wszystkie zjazdy i wybory związkowe każde z osobna i razem wzięte.

B. M.

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

10)

KUBIZM

(Zakończenie części ogólnej)

W r. 1913 Apollinaire, chcąc zdefiniować kubizm podał w swojej rozprawie pt. „Les peintres cubistes” (Malarze kubiści) aż cztery jego rodzaje: 1) Kubizm naukowy — „Jest to sztuka malowania nowych całości przy pomocy elementów zaczerpniętych nie z rzeczywistości widzianej lecz z rzeczywistości poznawanej” (Picasso, Braque, Metzinger, Gleizes, Jacques Villon, Marcussis, Marie Laurencin); 2) Kubizm fizyczny, „który jest sztuka malowania nowych całości przy pomocy elementów wziętych przeważnie z oglądanej rzeczywistości”. (Le Fauconnier, Marchand, Herbin); 3) Kubizm orficzny, komponujący nowe całości z elementów stworzonych całkowicie przez artystę, który nadał im się rzeczywistości (Delaunay, Léger, M. Duchamp, Picabia); 4) Kubizm instynktowny, który tworzy nowe całości z elementów rzeczywistości wyzuczonej przez artystę, instynktem i intuicją (Matisse, Rouault, Derain, Dufy, Van Dongen, jednym słowem — fowiści).

Późniejsza krytyka dzieląc kubizm według jego stadiów rozwojowych wyróżnia kubizm analityczny (1909—1912) i kubizm syntetyczny (1913 — lata dwudzieste). Niektórzy krytycy uznają jeszcze na samym początku — przed kubizmem analitycznym — kubizm fizyczny, a na samym końcu po kubizmie syntetycznym — kubizm abstrakcyjny. Orfizm, reprezentowany przede wszystkim przez twórczość Delaunaya, uważany jest dzisiaj za kierunek odrębny, aczkolwiek wywodzący się z kubizmu.



OBYCZAJE

Wśród problemów moralnych, jakie mnie trapią ostatnio — szczególnie natarczywie przypomina mi się jeden: oto ojciec denuncjuje syna, który ukrywał broń. Meldując milicji o tym niepokojącym fakcie — nie myślał o niczym innym, jak tylko o ratowaniu chłopaka przed niebezpieczniejszymi wyskokami. Chłopiec zostaje aresztowany, w rodzinie zaś zaplanowana wojna. Matka chłopaka nie chce słyszeć o dalszym współżyciu z człowiekiem, który wydał własnego syna, rodzeństwo aresztowanego wyrzeka się ojca. Człowiek traci dom, rodzinę, stacza się coraz niżej. Nie znajduje oparcia ani wśród znajomych, ani nawet u władz. Naciśniętą guzik, uruchomił ciężką maszynę prawną — i zamiast uratować syna i siebie — pogrąża. Sąd nie bierze pod uwagę motywów postępowania ojca, nie uznaje faktu denuncjacji za okoliczność łagodzącą i sygnalizuje chłopakowi pełny wyrok przewidziany za nielegalne posiadanie broni.

Jeden fakt, jedna ludzka omyłka — czy tragedia? Kiedy czytałem niedawno o podobnym zdarzeniu w „Sztandarze młodych”, doszedłem do wniosku, że pewne reakcje ludzkie powtarzają się w określonych okolicznościach. Począłem szukać w przeszłości podobnych zdarzeń. Wiedziałem, że w państwie Hitlera zdarzały się nagminnie denuncjacje ro-

dziców — przez ideowych synów. Ze rodzice szli do obozów i więzień, a synowie czuli, iż spełnili obowiązek wobec Fuehrera i Ojczyzny. Byłem świadkiem denuncjacji brata przez brata w siennej przed dwoma laty sprawie o zabójstwo dwóch milicjantów w Łowiczu. Tam tragedia była ogromna, bo częściowo niezamierzona. Młodzi chłopcy znajdują pewnego dnia teczkę z rewolwerami i bębnami od pepesz. Meldują władzom, śledztwo wykazuje, że broń należy do braci owych chłopców; bracia okazali się mordercami milicjantów pilnujących ruchu na szosie Łowicz—Warszawa.

W spokojny dom jakby piorun trzaś. Rodzice nie mogli wybaczyć chłopcom ich czynu, choć spełnili oni obowiązek obywatelski. Każdy inny — na miejscu chłopców byłby powitany jako dopust boży. Rodzice nie tolerowaliby przestępczej działalności synów; nawet nie protestowali przeciwko wyrokowi śmierci. Wyrok był bowiem sprawiedliwy. Chodziło o jeden fakt: brat wydał brata.

Oto problem. Taki problem moralny nie jest ludzkości obcy od tysiącleci. Już u Konfucjusza znalazłem potępienie denuncjacji. „U nas — cytuję za Russela „Szkicami sceptycznymi” — prawda jest czymś odmiennym. Ojciec ukrywa winę syna, a syn winę ojca. Tylko w takim

postępowaniu można się doszukać rzeczywistej prawdy”.

Konfucjusz był mędrcem nie lada i moralistą ale problemu nie rozstrzygnął skoro się on okresowo powtarza we wszystkich krajach. Można by przecież sypać przykładami z wielu dzieł starych i nowych — omawiających podobne zjawiska. Problem wszakże pozostaje: jak się ma ustosunkować współczesny ojciec, współczesny syn, gdy stwierdzi, iż drugi znalazł się w kolizji z prawem?

Nie, nie namawiam nikogo by się wypowiadał w tej sprawie. W myśl prawa ojciec ukrywający winę syna staje się sam współwinnym, i odwrotnie. I chyba prawu należy wierzyć.

Jest jednakże jedna, mała ścianka tego rombu dylematów: tzw. więź krwi. Rodzina. Rodzina, zwana po dziś dzień podstawową komórką społeczną. Rodzina zaś trwa, żyjąca w zgodnej wspólnocie najczęściej staje się — w takich przypadkach — najbardziej nieprawomyślna i niepraworządna. Myślę, że tylko jednostki — z dużych tysięcy — decydują się na rozbić rodzinę przez denuncjację.

Może ktoś zarzucić mi, że poruszam nieco scholastyczny problem. Nie wypieram się, może to być czyta scholastyka, bo to już cokol-

wiek niemodne roztrząsać „co by było gdyby”. Wszakże życie pokazuje, że niekiedy stajemy wobec najbardziej niespodziewanych zawężeń w losach ludzkich i że mimo woli zajmujemy wobec zjawisk własne stanowisko.

Ideolodzy powiedzą: „człowieku, przecież co innego jest tać winę syna w ustroju feudalnym czy kapitalistycznym, gdzie itd., a co innego gdy ojciec robotnik tai winę syna w państwie robotniczym. Och, panowie, systemy się zmieniają, a ojcowie i synowie powiązani są od wieków takimi samymi więzami krwi.

Dlatego nie każcie mi zajmować stanowiska, ani dawać odpowiedzi. Gdyby tak na mnie padło — nie wiem. Może bym powiedział, a może zajął stanowisko Konfucjusza. Jedno wiem na pewno: rozstrząsać taki problem byłbym kosmopolitą. Ustrój nie interesowałby mnie absolutnie. Bowiem problem winy i kary niezależny jest od ustrojów, choć inne bywają winy i inne kary w każdym z przemijających.

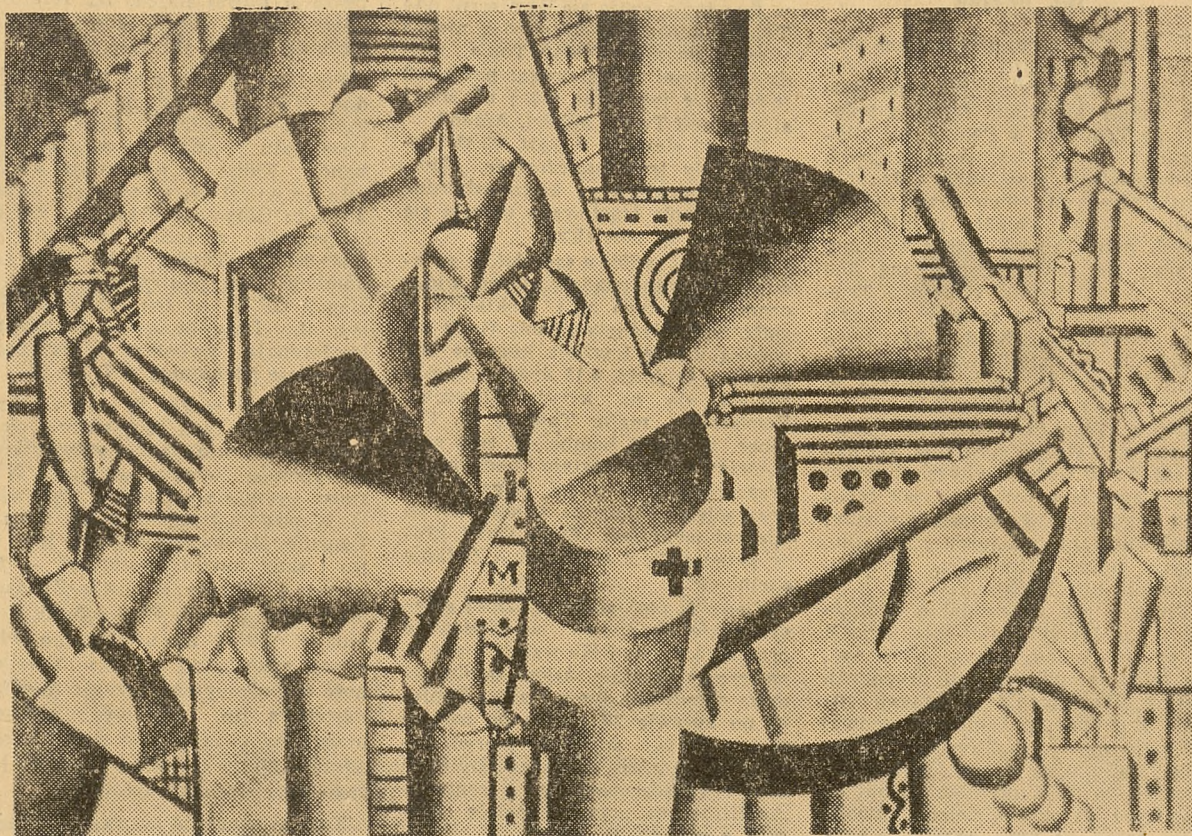
Wybaczone więc, że tak sobie zamierzyłem głośno porozmyślać. Życie jest zbyt ciekawe i bogate — by udawać, że się już o nim wie wszystko.

B. DROZDOWSKI

Po prawej u góry:
F. LEGER:
PAROWIEC 1918

u dołu
A. L HOTE:
REKONWALESCENTKA

po lewej:
J. GRIS:
KOBIETA SIEDZĄCA 1916



Pierwsza LISTA NAGRÓD w KONKURSIE „ZDARZEŃ“

- MARIA KWIETNIEWSKA, Kraków, Rynek Gl. 22/9 (teczka skórzana).
- MARIA RAJKOWSKA, Bochnia, Campii (budzik).
- ANDRZEJ DOROSZ, Kraków 23, Balicka 72 (portfel skórzany).
- B. ZAKRZEWSKA, Kraków, Reja 33/5 (portmonetka nylonowa).
- JÓZEF PASTERNAK, Wadowice, Obr. Stalingradu 68 (portmonetka nylonowa).
- STANISŁAW RACHTOŃ, Nowa Huta, Hibnera 2/34 (żelazko elektryczne).
- LESZEK PEKAŁA, Tarnów 3, Ogrodowa 5 (książka).
- TADEUSZ GĄSIOREK, Wola Dębińska, p-ta Dębno (książka).
- Jan MECH, Dobra k. Limanowej stacja PKP (książka).

Zaznaczamy, że jest to lista nagród dla tych czytelników, którzy przysłali rozwiązania do środy godz. 12. Nadesłane w późniejszym terminie zgłoszenia będą brały udział w losowaniu w przyszłym tygodniu.

Rozmowy z Czytelnikami

K. B. Poeta ludowy. Kraków. Powieść T. Kwiatkowskiego odzwierciedla tło obyczajowe srodowiska, z którego wywodził się Mazurkiewicz. Istotnie oryginalny to pogląd owej pani, że „Mazurkiewicz miłszy obecnie Bogu niż niejednen żyjący“. Nie wierzymy, byśmy Pańskim wierszem zdołali przekonać ową Panią i jej podobne. Naiwna skłonność do przebaczenia bez względu na rozmiar zbrodni to dowód braku myślenia. Wiersz Pański zachowujemy w archiwum naszym.

Basia Sakowicz, Zakopane 3, ul. Oswalda Balcera. Proszę nam darować, że przytoczymy kilka zdań Pani listu: Jest co czytać w „Zdarzeniach“: bo są w nich różne rozmaiłości a więc prócz odcinka powieści, nowele, recenzje filmowe, wiadomości ze świata, ciekawostki, zdjęcia i rysunki a także rozrywki umysłowe. Jestem Waszą stałą czytelniczką, wierną i popularyzującą „Zdarzenia“ wśród wszystkich koleżanek i znajomych. Jeżeli nadal pismo to będzie tak atrakcyjne i zajmujące to będziecie musieli zwiększyć jego nakład.“

Po nasyceniu naszej próżności odpowiadamy na treść Pani listu. Jak zdołała Pani zauważyć, konkurs już ogłosiliśmy i to nieustający. Będzie Pani zapewne jego stałą uczestniczką. Fototy filmowych artystek wysłaliśmy jednorazowo w związku z konkursem. Niemniej postaramy się o fotos Mariny Vlady. Zgadząmy się z oceną Pani, jeśli chodzi o talent i urodę tej artystki. Prosimy tylko o nieco cierpliwości.

Helena Woźna, Sanok, ul. Szopena 9. 700 zdjęć to istotnie imponująca ilość. Wysyłamy serię fototów w przekonaniu, że będzie to zarazem nagroda za przodownictwo w nauce.

Barbara Brason, Dąbrowa Tarnowska, ul. Garbarska 8. Ma Pani rację: „głosząc na daną aktorkę trzeba ją najbierw widzieć na ekranie, ażeby móc ocenić. Samo zdjęcie zamieszczone w czasopiśmie nic nie daje“. W związku z ogłoszeniem stałego cotygodniowego konkursu będziemy przeznaczali na nagrody fototy najbłiekniejszych artystek. Prosimy zatem o udział w naszym konkursie.

STAŁY KONKURS „ZDARZEŃ“

I R W C I

W poprzednim numerze „Zdarzeń“ ogłosiliśmy stały Konkurs cotygodniowy z licznymi nagrodami. Otrzymaliśmy już liczne zgłoszenia. W tym numerze ogłaszamy nowe trzy pytania. Biorących udział w konkursie prosimy o wypełnienie niżej zamieszczonego kuponu i przesłanie na adres redakcji „Zdarzeń“, Kraków, Włopolole 1. Przypominamy warunki konkursu:

Każdy czytelnik „Zdarzeń“, który wytnie, wypełni kupon i nadeśle do Redakcji, bierze udział w konkursie i losowaniu nagród co tygodnia. Kupony nadesłane do najbliższej środy godzina 12 biorą udział w losowaniu już w tym tygodniu. Listy z kuponami, które nadejdą później, wezmą udział w losowaniu nagród w następnym tygodniu.

UWAGA! ENTUZJAŚCI I ENTUZJASTKI FOTOSÓW ARTYSTEK FILMOWYCH

Ze względu na duże zainteresowanie naszych czytelników fotografami artystek filmowych postanowiliśmy przeznaczyć każdego tygodnia pewną ilość podobizn, które będą rozlosowane wśród biorących udział w konkursie.

CZYTELNICY WSPÓLAUTORAMI STAŁEGO KONKURSU

Redakcja Zdarzeń prosi czytelników o nadsyłanie pytań do naszego stałego konkursu. Ci z czytelników, których pytania zostaną zakwalifikowane do druku, będą brali udział dodatkowo w losowaniu. Pytania mogą dotyczyć jakiegokolwiek dziedziny życia, muszą jednak być oryginalne, zaciekawiające i łatwe.

TREŚĆ PYTAŃ STAŁEGO KONKURSU DLA NR 10

- Nazwisko najbardziej niepopularnego do niedawna człowieka w Stanach Zjednoczonych.
- Nazwa minerału, który obok węgla jest naszym bogactwem narodowym.
- Który z największych wynalazków epoki wprowadzamy obecnie w Polsce

KUPON

uprawnający do udziału w stałym konkursie tygodnika
„ZDARZENIA“

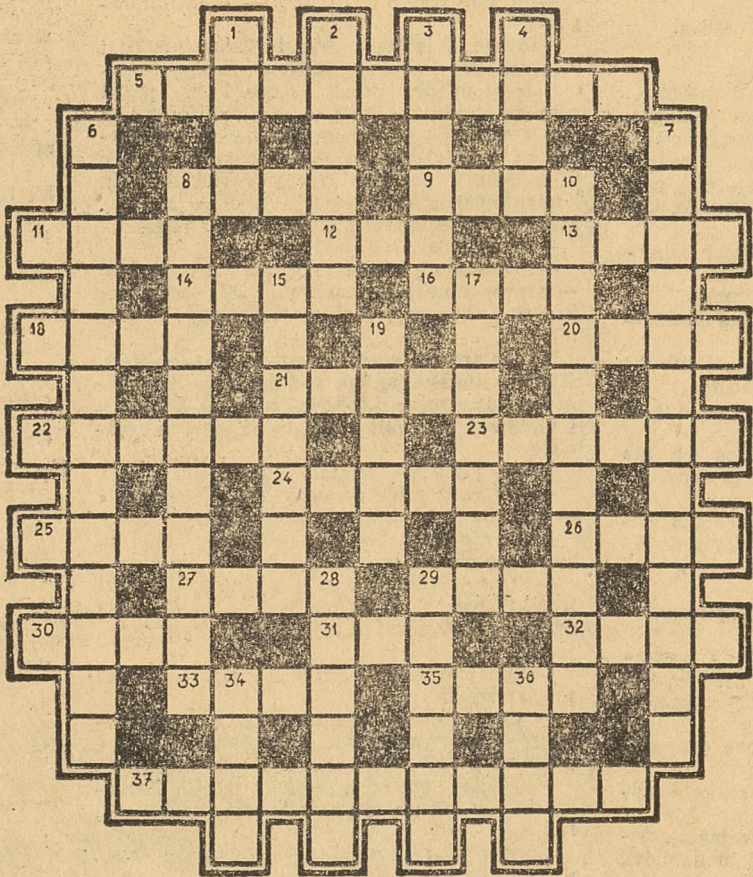
Odpowiedz na pytania w numerze z dnia 14. VII. 1957

-
-
-

Imię i nazwisko czytelnika

Dokładny adres

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 5) Miasto powiatowe w woj. wrocławskim, 8) Miasto nad Wartą, 9) Prawy górny dopływ Odry, 11) Urządzenie do kierowania statkiem, 12) pierwiastek chemiczny, 13) Pole uprawne, 14) Rodzaj dwukolowego wozu (używanego np. przez Mongołów), 16) Chwast zbożowy (1 p. l. mn.), 18) Święty ptak dawnych Egipcjan, 20) Kwota, 21) Głos męski, 22) Moneta w Czechosłowacji, 23) Zrośnięcia w płucach, inaczej, 24) Miasto w Czechosłowacji, 25) Lewy dopływ Wisły, 26) Miarę papieru, równa 20 librom, 27) Kończyna, 29) Izba szkolna, 30) Szeroka, miękka kanapa z poduszkami (wspak), 31) Rzeka w Egipcie, 32) Naczynie do podawania napojów, 33) Przykrycia na łóżka, 35) Dokumenty

sadowe, 37) Jedna z dzielnic regionalnych w Jugosławii.

Pionowo: 1) Stolica państwa skandynawskiego (wspak), 2) Sedno sprawy, 3) Kaluża, błoto, bagno, 4) Miasto powiatowe w woj. olsztyńskim, 6) długi życiorys, napisany przez jakąś osobę o niej samej, 7) Przystosowane roślin lub zwierząt do nowych warunków klimatycznych, 8) Miasto w ZSRR nad rzeką Jenisej, 10) Można pan, człowiek uprzywilejowanej grupy społecznej, 15) Specjalista zajmujący się nauką o roślinach, 17) Pocisk do łuku, 19) Organ Komunistycznej Partii Włoch, 28) Wysuszone owoce anyżu, 29) Bieg zjazdowy na nartach z przeszkodami, 34) Pogoda, stan pogodny, 36) Utwór muzyczny na trzy różne głosy.

(„Oskar“)

Historia gry liczbowej

Pod koniec XIX wieku, na całej kuli ziemskiej, rozpowszechniła się bardzo pewna odmiana gry liczbowej pod nazwą „Lotto“. W zasadzie była to bardzo dziecinna gra, która znalazła goścień prawie w każdym domu. Nazywano ją „Loteryjką-lotto“. Gra ta polegała na tym, że w kółku towarzyskim (względnie dziecięcym) rozdawano tabliczki z wypisanymi na nich liczbami od 1 do 90. Każda tabliczka miała trzy poziome rzędy pokratkowane, natomiast w każdym rzędzie było wypisane po 5 liczb (z liczb od 1 do 90) pomieszanych w najrozmaitszy sposób. Do specjalnej płóciennej torebki wrzucano 90 krawców z drzewa, o kształcie miniaturowych bezułek po obu stronach których znajdowały się wybite jednakowe numery. Każdy krawiec miał swój numer, a musiało ich być 90 z z liczbami od 1 do 90. Po zamieszczeniu ich, jeden z grających obowiązany był wyciągać te krawczy i głośno odczytywać wylosowane numery. Wygrywał ten, kto pierwszy z ostatnich liczb zdążył pokryć całkowity rząd składający się z „5“ liczb tzw. kwinterno.

W pierwszych latach XX wieku, spekulanci i kombinatorzy, wykorzystywali te gry dla zdobycia fortuny. Powstało moc klubów pod szyldem „Lotto“, gdzie sprzedawano za określoną sumę tabliczki z numerami (tabliczki można było nabywać w dowolnej ilości) i wypłacono pewną sumę wygrywającym „piątki“. Oczywiście, największą wygraną była suma, która pozostawała w kasie i wędrowała do kieszeni właścicieli — dzierżawców „klubów“. W ten sposób menagerzy tej gry, na naiwności ludzkiej zbierali bająskie sumy.

Pod koniec pierwszej wojny światowej, mniej więcej w 1918 r. poszczególne rządy, aczkolwiek nieco za późno, spostrzegły szkodliwość tych imprez i w krótkim czasie kluby te zostały zlikwidowane.

Niemiejsze szkody społeczeństwu całego świata przyniosły przynoszą gry hazardowe, które uprawiano w tzw. kasynach jak np. przed wojną w Sopotach, a obecnie w Monte Carlo pod nazwą „ruletki“. Chociaż zasady gry w ruletkę są odmienne od gry liczbowej, to jednak szanse wygrania są w zasadzie jednakowe. Tak w ruletce, jak i w grze liczbowej, można liczyć na prawdziwe wygrane jedynie przypadkowo.

c. d. n.

K. GILEWICZ



Przebieg 10-ciu losowań „ŁUCZNICZKI“

Pomorska gra liczbowa z siedzibą w Bydgoszczy otrzymała nazwę „Łuczniczki“. Inauguracyjne losowanie odbyło się w dniu 14. IV. 1957, w którym wylosowano jedną czwórkę. Szczęśliwy posiadacz tego losu załknasował 87.956 zł i otrzymał dodatkowo parcelę budowlaną pod budowę jednorodzinne domku. Również w drugim ciągnięciu padła tylko jedna czwórka z wygraną w wysokości 164.000 zł. Natomiast ciągnięcie czwarte dało posiadaczowi jednej czwórki 279.930 zł plus parcelę. Te wygrane otrzymała p. Barbara Wśniewska, kierowniczka jednego ze sklepów MHD w Bydgoszczy.

Ilość grających stopniowo wzrosła i obecnie „Łuczniczka“ ma na swoim koncie ponad pół miliona klientów.

Począwszy od piątego losowania przyznano grającym specjalne premie w postaci pralek elektrycznych, zegarków, aparatów fotograficznych, radioaparatów itp. w stosunku jedna nagroda na 100 kuponów z trzema trafieniami.

W Prezydium MRN w Bydgoszczy odbyły się dwa posiedzenia, pierwsze było poświęcone sprawozdaniu z przebiegu pierwszych sześciu losowań „Łuczniczki“, natomiast na drugim dokonano podziału ok. 3 milionów zł uzyskanych z „Łuczniczki“. Bydgoszcz otrzymała 1.400.000 zł, Toruń, Włocławek, Grudziądz, Chojnice, Inowrocław po 750.000 zł i Nakło 120.000 zł. Pieniądże otrzymały terenowe rady narodowe z podkreśleniem, że należy je wykorzystać wyłącznie na rozwój budownictwa mieszkaniowego.

A oto wyniki z pierwszych sześciu ciągnięć:

- | | | | | | | | | | |
|-------|----|---|----|---|----|---|----|---|----|
| 1. — | 29 | — | 42 | — | 54 | — | 63 | — | 83 |
| 2. — | 24 | — | 46 | — | 67 | — | 81 | — | 87 |
| 3. — | 21 | — | 26 | — | 57 | — | 69 | — | 87 |
| 4. — | 8 | — | 22 | — | 55 | — | 80 | — | 88 |
| 5. — | 8 | — | 12 | — | 20 | — | 25 | — | 47 |
| 6. — | 9 | — | 33 | — | 39 | — | 66 | — | 81 |
| 7. — | 3 | — | 39 | — | 54 | — | 73 | — | 76 |
| 8. — | 4 | — | 9 | — | 45 | — | 52 | — | 72 |
| 9. — | 5 | — | 6 | — | 19 | — | 65 | — | 89 |
| 10. — | 10 | — | 18 | — | 25 | — | 45 | — | 77 |

Czysta eks-sportowa

NIEDZIELA KIBICA

(urywek pamiętnika)

Wstałem bardzo wcześnie. Nie mogłem spać ze zdenerwowania. Będzie pogoda, czy nie?... Wyjrzałem przez okno, bo chociaż słońce zalewało pokój, byłem niespokojny. Rzeczywiście, zobaczyłem czyste niebo. Ogarnął mnie zaraz taki poetycki nastrój. Lubię nastroje, ponieważ zawsze należałem do sentymentalnych natur. Nawet w latach dziecięcych b a b c i a wietrzyła we mnie talent literacki. Nie pomyliła się. Odkąd zacząłem pisać pamiętnik, zauważyłem w sobie duży zmiany. Coraz wyraźniej dostrzegałem te rzeczy, które robią z człowieka pisarza: np. różowy poranek, złote południe, szary zmierzch i granatowa noc. Litowałem się nad wszystkimi, którzy nie umieli i i t e r a c k o spojrzeć na zwykły, codzienny dzień. No, proszę: „codzienny dzień“, to ładne i dowiecne określenie. Nie każdy tak potrafi.

Próbowałem również pisać wiersze. Ale się nie mieściłem. Zresztą, przyznaję lojalnie — dwudziestozgłoskowiec zaczynał mi się podobać! Nieśwety, za dużo liczenia, a w matematyce nigdy nie byłem biegły. Co innego — nauki czysto humanistyczne. To brzmi dumnie, jak zauważył jeden, co też nie miał uniwersytetów. Byliśmy bardzo podobni do siebie. Stylistycznie — i w ogóle. Tylko, ja nie noszę wąsów. Matka-natura poskapila. — Czy dlatego nie miałbym pisać?

Więc sprawdziłem: ranek zapowiadał pogodę. Niebo bezchmurne. A ja — wybieram się na mecz. Wprawdzie mecz odbędzie się w hali, i do tego wieczorem — ale od pogody wiele zależy. Organicznie bowiem n i e l u b i ę kaloszy! Kiedy pada deszcz (albo, może lepiej

brzmi: dżdzy) — to muszę nakładać kalosze. Najgorszy jest jednak nie deszcz (oryginalniej byłoby: dżż), lecz doświadczenie. Zwykle w poniedziałki kupuję nową parę kaloszy. Nie, nie zostawiam ich w bloście! Jestem człowiekiem zrównoważonym, raczej w typie melancholika. Po prostu — gubię kalosze przez zapomnienie. Zapominam je na ringu bokserkim. Co prawda, nigdy tam nie wchodzi. Rzucam sobie, ot tak, z fantazji. Bo mam polot. Ale, któż to pojmie? Kiedyś miałem nawet drobne nieprzyjemności. Ze służbą porządkową. — No, cóż — ci ludzie nie są na poziomie. Duszy artyści nikt nie zrozumie. Trzeba się zniżyć. Odkąd stałe się zniżam: uole pozostać w ukryciu. Nigdy się nie pchałem. Geniusze nie potrzebują łokci! Wystarczy mi, że tłum pomyśli: ON jest m i ę d z y nami...

A zatem — pogoda cudowna. Słońce się toczy (takie proste, a przecież metafory!). Ani wietrzyka (może by użyć: zefirka?). Nastrojowo. Wtedy o wiele przyjemniej idzie... (hm, brak mi piękniejszego słowa) — g o l e n i e. Tylko, żyletka — amerykańska pożyczka! Oporna... Radio gra swobodnie. Kot miauczy. Nie! To N a t a s z a śpiewa: „Piotruś ty możesz wejść...“ Takie pokrewna dusza. Człowiek siada do śniadanka, zaraz przyjdzie Miśtek. On może wejść. Tak, jakoś — d o l c e far niente! Potem o c z y ś c i m y k a l o s z e.

Będzie deszcz, czy nie? Trudno, jeśli nie będzie — trzeba kalosze założyć w i n a c e w „SPORT“. Zmieszczę się obie pary. To duża gazeta...

Znowu czuję nastroj. Życie s p o r t o w c a ma swój urok!

JERZY BOBER

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(6)

— Ty się tak nie patrz na mnie. Nie boję się ciebie — wołał Linkowski wyrывая się w stronę Mazurkiewicza. — Mogę tu wszystkim powiedzieć, co myślę o tobie... nie bądź taki...

Maryjka zamknęła mu usta pocałunkiem. Chciał ją odsunąć od siebie, ale przywarła do niego tak że stracił równowagę i usiadł na krześle podstawionym przez Jagińskiego. Lilka i Zuza tymczasem uprosiły Mazurkiewicza, by zszedł z oczu Linkowskiego. Wiedzieli, że chodzi tu o dawne sprawy i że Linkowski dopiero po pijanemu chce wyrzucić swój gniew na Władka za długotrwały flirt z jego żoną.

Mazurkiewicz udał się do drugiego pokoju i usiadł na fotelu.

— Popatrz, co się dzieje z tymi ludźmi — rzuciła mu w przelocie Zuza. Spojrzał na nią smutnymi oczami i uśmiechnął się z gorczyką.

— Czego on chce ode mnie? — Nie martw się — zjawiała się przy nim Jolka — zawsze był zazdrosny o ciebie. Oni wszyscy są zazdrosni o ciebie. Ty ich denerwujesz. A wiesz dlaczego?

Mazurkiewicz pocałował ją w rękę. — Dlatego że ty masz klasę. Jesteś delikatny, umiesz postępować gdziekolwiek się znajdziesz, chodzisz do teatru, na koncerty. A ich to wszystko nie obchodzi. Dla nich tylko forsa. Dla forsy robią niewiadomo co. A ja ciebie nigdy nie słyszałam mówiącego o pieniądzach.

— Jolka — Mazurkiewicz przyłożył czoło do chłodnej dłoni młodej rozwódki.

— Nie martw się — poglądziła go po głowie, oni nie sięgają ci nawet do kolan.

— Mieliśmy zraziki po węgiersku — zawołał Jagiński, wchodząc do pokoju — o, przepraszam, czy nie przeszkadzam — cofnął się, widząc Mazurkiewicza opartego na ręce Jolki.

— Zostań — rzekła Jolka, — Władek ma wyrzuty sumienia.

— Ty? — zdziwił się Jagiński, — a co cię to wszystko obchodzi. Biją się? To niech się biją. Niewyżyci. Linkowski czeka na wojnę, jak kania deszczu i nie mogąc się doczekać aranżuje towarzyskie potyczki. Goladski jak otrzeźwieje, odda mu z nawiazką. Wszystko będzie all right.

— Nie lubię takich scen. Brzydzi mnie to — odezwał się Mazurkiewicz, poprawiając fryzurę.

— Trzeba zagrać. — Jagiński zatarł ręce, — jestem przegrany. Poczekaj, zawołam reżysję.

— Moje biedne, — powiedziała Jolka klepnawszy Mazurkiewicza czule w policzek. — Takie to to subtelne. Niech się Władek nie smuci.

— Ech, — westchnął ciężko Mazurkiewicz.

Kamaszowski doprowadził Goladzkiego do przytomności. Siedział na krześle pod piecem z nogami wyciągniętymi na środek pokoju i łapał głośno powietrze. Linkowskiego siłą przeprowadzono do pokoju Zuzy i tam zajęły się nim Maryjka, Lilka i Zombrzeski.

— Co on chciał ode mnie? — spytał Goladzki, pocierając czoło, — przypieprzył się do mnie, a nie ja do niego.

— Nie warto wspominać. Paweł, trzymaj się — pokrzepiał go Kamaszowski, — napiłeś się trochę i tyle.

— Napiłem się, ale ani mu żony nie chędczyłem, ani go nie ochrzaniłem.

— Nieporozumienie.

— Słuchaj? — Goladzki złapał Kamaszowskiego za krawat, — czy on dał mi w mordę? — On tobie? — zaśmiała się Zuza, — chyba żartujesz.

— Bo coś mi się wydawało, że dostałem w mordę, — Goladzki pomacał się po szczęce.

— Zdawało ci się...

— Ktoś mi jednak przypieprzył w mordę, — ruszał szczęką jak bokser, który bada, czy nie wyskoczyła mu z żuchwy.

— Napij się wody mineralnej, — Zuza przyniosła mu szklankę. Goladzki opróżnił ją jednym łykiem. Mlasnął i dźwignął się z krzesła. — Muszę zbadać, kto mi dał w mordę. Nie ma co? Jak nie Linkowski, to ktoś inny.

— Nie rób awantur, — rzekł błagalnie Kamaszowski, — sąsiedzi słyszą. Potem co oni sobie pomyślą o nas.

— Mój kochany, — rzekł Goladzki, — mów mi o obchodzie. Ktoś mi dał w mordę, rozumiesz. Hej — zawołał na Tola, który przemknął do pokoju Zuzy z butelką „Krynica”. — Czy to może ty dałeś mi w mordę?

— Ja? — Tolo podskoczył jak pajac, — oszalałeś? Ja walczę w innej wadze.

Goladzki zmierzwił go od stóp do głów.

— Rzeczywiście chuchro. Już wiem. W mordę dał mi Koniecznyński.

— Skądże znowu — zastąpił mu drogę Kamaszowski.

— A może ty? — Goladzki spojrzał na Kamaszowskiego i pokławił głową. Pewnie ty.

— Paweł, jesteś jeszcze pijany. Połóż się i śpij. Jak wytrzeźwiejesz, pogadamy.

— Ty! — stwierdził z całym przekonaniem Goladzki.

— Przysięgam ci, że nie on i że w ogóle nikt cię nie uderzył — zawołała Zuza.

— On — Goladzki kiwał się na boki — on, ale nie mu nie mogę zrobić — podniósł palec do góry — gospodarz. Gospodarza nie bije się po mordzie.

— W takim razie ja — roześmiał się Kamaszowski.

— To pocałuj. — Goladzki schylił się i nadstawił czoło do pocałunku. Kamaszowski ucałował go z radością. Goladzki ręką kazał Zuze oddalić się i powiedział cicho do Kamaszowskiego:

— Ja wiem, że wałnął mnie w mordę Linkowski, tylko udaję, że nie wiem.

Kamaszowski kuksnął go pod żebro.

— Nikt cię nie uderzył. Nie szalej.

— Dobra, dobra. — Goladzki zobaczył na stole flaszkę wódki, zataczając się wykonał półobrot i przestał się interesować gospodarzem. Kamaszowski pokazał na migi żonę, aby się nim zajęła i sam zwił do salonu, gdzie czekano już na niego z kartami.

Zuza pozwoliła Goladzkiemu wypić, ile chciał. Wołała, by upił się do nieprzytomności, a potem zasnął. Pozbyłaby się kłopotów. Znała go dobrze i wiedziała, że należał do gości wychodzących na ostatku.

Goladzki wysączył prawie pełną szklankę eksportowej, otworzył szeroko usta i chwilę dyszał jak pies. Potem potykając się ruszył do okna, przechylił się przez parapet i zamarł w bezruchu.

Zuza stanęła tak, aby dobrze obserwować stół pokerowy w drugim pokoju. Akurat naprzeciw niej siedział Władek, spokojny i skupiony. Kilka zmarszczek na czole dodawało jego męskiej urodzie dodatkowego uroku. Jakżeż mniej korzystnie przedstawiali się jego partnerzy. Madycki, czerwony i zaspany, co chwilę ocierał pot z czoła. Koniecznyński z włosami w nieładzie, z nieprzyjemnym grymasem ust, wiecznie podenerwowany, głośno wyrażający swe niezadowolone z karty. Jagiński, wierający się na krześle. Mąż siedział odwrócony do niej plecami, ale znała go przecie doskonale. Przy pokerze zmieniał się w chciwego skąpca, kłócił się i szalał, gdy przegapił okazję zdobycia banku. Władek natomiast zachowywał godność. Nie podnosił nigdy głosu. Wstawał od gry z taką samą miną, przegrany czy wygrany.

Pragnęła dzisiaj, aby wygrał. Życzyła mu tego z całego serca. Zaciśnęła w dłoniach kciuki na szczęście. W pewnej chwili Mazurkiewicz wstał od stołka i wszedł do jadalnego. Zobaczył Zuze i uśmiechnął się smutnie. Zuza dostrzegła ten smutek. Niejednokrotnie zastanawiała się, na czym polega wielki urok Władka. I doszła do wniosku, że ona, że wszystkie kobiety szalały właśnie za tym jego głęboko ukrytym smutkiem, który nawet jego uśmiech zabarwiał lekką mgłą tajemniczości.

— Wygrałeś? — zapytała z tklivością. Odpartł lakonicznie:

— Przegrałem.

— A ja tak chciałam... — nie dokończyła, uznając, że może mu się wydać śmieszna. Mężczyźni nie lubią współczucia w sprawach, które traktują poważnie.

Chciał ją objąć w pól, ale w ostatnim momencie dostrzegł przy oknie Goladzkiego. Cofnął rękę.

— Czy mógłbym umyć ręce? Pytanie zabrzmiało bardzo oficjalnie.

— Władku! Tak często myślę o tobie.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na Goladzkiego.

— Nie odpowiedziałeś mi, czy mnie lubisz? — chciała od niego usłyszeć choćby jedno słowo, którym by mogła żyć następne dni aż do chwili spotkania.

Jeszcze raz upewnił się, czy ktoś ich nie podgląda i powiedział zduszonym głosem:

— Nie mogę spać przez ciebie.

Przymknęła powieki. Określiła się na obcasie i podeszła do drugiego okna, unosząc firankę. Poszedł za nią. Firanka odcięła ich od pokoju.

— Noc, — rzekła Zuza, — boję się nocy.

— Jestem przy tobie.

Ulicą przejechał samochód, opony zaszumiły na asfalcie. Pod nimi nad ulicą łopotał w słabym wietrze transparent, przeciągnięty pomiędzy kamienicami.

— Ale nie zna ciebie. Ile stracił?

— Ty komplementarzu! — złapała go za ramię.

Ktoś wszedł do jadalnego i Mazurkiewicz powiedział głośno:

— Nikt go nie ukradł, mogę być spokojny, — i energicznym ruchem odsunął firankę.

Lilka Kósma zabrała ze stołu tort, kiwnęła do nich ręką i zniknęła z powrotem w pokój Zuzy, gdzie rezydował teraz Linkowski.

Mazurkiewicz puścił firankę, która znowu zakryła ich postacie przy oknie. Milczeli. Zuza dotknęła kolanem kolana Mazurkiewicza. Przeniknęło ją ogromne, ciepłe wzruszenie.

Mazurkiewicz oparł łokieć na parapecie. Zapatrzył się przed siebie.

— O czym myślisz? — spytała, nachyliwszy się nad nim. Poczuła zapach wody lawendowej. I jeszcze bardziej zapagnęła jego miłości.

Mazurkiewicz ocknął się.

— Chętnie wyjechałbym stąd, gdzieś daleko... gdzieś gdzie nikt mnie nie zna...

— Rozumiem cię, — powiedziała choć w sercu poczuła skurcz niepokoju — chcesz się stąd wyrwać. Przyzwyczajony jesteś do świata, podróżowałeś tyle... tak, rozumiem... Mazurkiewicz wyprostował się i ujął ją za przeguby dłoni.

— Męczę się... męczą mnie te kursy samochodowe, to, że człowiek jest zależny, wszystko mi się nie układa tak, jakbym ja to sobie wyobrażał... Wiesz, wyjechałbym stąd zaraz, już jutro...

Zuza spuściła głowę. A więc jej nie kocha. Gdyby kochał, nie raniłby jej wyliczaniem swych pragnień, które nie miały nic wspólnego z miłością. Przeciwnie, podkreślały inne marzenia, inne zamiary, ucieczki przed nią, ostatecznego zerwania. A przecie jeszcze nic się między nimi nie zaczęło. Kilka pocałunków, słowa miłości, nadzieja, to wszystko, co ich do tej pory łączyło.

— A co na to twoja żona? — szepnęła zżamana.

— Ach, żona, — odpowiedział, zwracając twarz w kierunku okna, żona mnie nie kocha. Nie zgadzamy się. Ja jestem flegmatykiem, ona porywcza. Tak — i zmieniając ton dodał: — Ale nie ma o czym mówić. Nigdzie nie wyjadę, — pocałował ją w rękę.

— Marnujesz się... ja wiem, że się marnujesz.

— Władek! — posłyszeli głos Koniecznyńskiego, — grasz czy nie?...

Zuza chciała odsłonić firankę, ale powstrzymała jej rękę.

— Słuchaj — powiedział zduszonym głosem — mam wielką prośbę. Przegrałem. Muszę się odegrać. Zabrakło mi w tej chwili pieniędzy. Czy możesz mi pożyczyć?...

— Pożyczysz? Z największą chęcią ofiarowałaby mu co tylko było jej własnością. Biedny, przegrał. Jakżeż musi cierpieć że jest zmuszony prosić ją o pożyczkę? On taki dumny i elegancki, mogący służyć za przykład dla każdego mężczyzny. Jakżeż musiał walczyć ze sobą zanim jej o tym powiedział, a ona, głupia sądziła że jej nie kocha. Przecież nikogo innego by o to nie poprosił. Liczył na nią. Była rozczulona.

— Chodzi mi o kilka tysięcy. Za parę dni oddam. Znalazłem się w głupiej sytuacji. Sprzedam co w najgorszym wypadku... Nie, nie musi sprzedawać. Odda jej kiedy będzie miał. Po cóż wyznaczać terminy. Oj, gdyby on przeczuwał, jak ona go kocha.

— Mam pięć tysięcy — powiedziała i szybko dorzuciła — jeśli potrzeba ci więcej, mam jeszcze jakieś dolary.

— Moja dobra — wtulił twarz w jej dłoń.

Wyszli z firanki.

— Pojdę umyć ręce — rzekł Mazurkiewicz. — A ja przygotuję pieniądze.

Po chwili Mazurkiewicz zasiadł z powrotem do pokera. W portfelu miał plik pięsetek a w kieszeni zwitek dolarów, które wetknęła mu pośpiesznie Zuza.

Gra toczyła się szybko. Madycki zaczął przegrywać, a szczęście uśmiechnęło się do Kamaszowskiego, przed którym urosła sterta pomietych banknotów.

— W puli jest trzy tysiące! — oznajmił Jagiński.

— Proszę o jedną — rzekł Mazurkiewicz i otrzymałszy kartę od Koniecznyńskiego wsunął ją pomiędzy cztery, które leżały przed nim na stołku.

O czwartej nad ranem skończono grę. Żyberski, cały czerwony z wrażeń na widok tylu tysięcy przechodzących z rąk do rąk, komentował z ożywieniem ostatnią rundkę. Madycki przeciągnął się i ziewnął głośno.

— Czas trochę pospać!

— Trzeba się napić jeszcze strzemiennego! — zaproponował Kamaszowski. Mazurkiewicz przyglądał włosy, Koniecznyński zapinał kamizelkę.

W jadalnym zastali resztę towarzystwa. Kobiety śmiały się jak szalone, gdyż Goladzki posadził sobie Linkowskiego na kolanach i obydwa całowali się jak najlepsi przyjaciele.

— No i jak? — spytała Zuza.

— Wyobraź sobie że wszystko wygrałem ja — zawołał uradowany Kamaszowski.

— Ja nie przegrałem — oświadczył Madycki — wyszedłem na swoje.

Tylko Władek wpadł szpetnie — rzekł Kamaszowski z udanym współczuciem. — Ale odegra się. Wiesz, jak to jest. Dziś wygrywałem ja, jutro on.

— Panie Władku — rzekła Zuza — nie ma pan szczęścia.

— Cóż robić — uśmiechnął się Mazurkiewicz. — może na innym polu bardziej mi się poszczęści.

— Słaba pociecha — klepnął go Zombrzeski. — Jak się ma forse, reszta przychodzi sama.

— Daj buzi — krzyczał Goladzki do Linkowskiego, który z otwartymi ramionami rzucił mu się znowu w objęcia.

— A co z tym? — Koniecznyński pokazał na policzek. Jolka wzięła go pod ramię.

— Nie pamiętają.

— Wiedziałem, że tak będzie. Wódzia godzi wrogów. Maryjka potrząsnie mężem.

— Chodźmy. O ósmej musisz być w Nowej Hucie.

— Golas — zawołał Linkowski — jedziesz ze mną do Huty?

— Jadę! — cwiadził Goladzki.

— Strzemiennego! — powiedział Kamaszowski, który tymczasem rozlał wódkę do kieliszków.

— Przypomniał mi się pewien dowcip a propos — zaczął Koniecznyński ale głos utonął w powszechnym gwarze jaki zapanował przy stole.

— Biedny Władek! — Kasia pogłaskała Mazurkiewicza po ramieniu.

— Wolę mieć szczęście u ciebie — rzekł półgłosem.

— Może już masz!

— A więc wygrywam na tę parę. —

— Asowską? — przymrużyła jedno oko.

— Uczynił gest, że nie przeczy. Kamaszowski trzącił się kieliszkiem z Jolką.

— A więc umowa stoi?

— Nie powiedziałam tak.

— Nie powiedziałaś nie.

Dmuchiła mu dymem z papierosa w twarz.

— Jesteś za pewny siebie.

— Ubóstwiam cię.

— A co ja mam na to odpowiedzieć?

Sklonił się przed nią.

— Co ci dyktuje serce.

— A dokąd chcesz jechać?

— Do Zakopanego, do Krynicy, na koniec świata, byle z tobą...

Uderzyła go lekko po ręce.

— Szczęściarzu! Jesteś.

— Tak, teraz to dopiero oceniam. Zadzwo-

nie jutro.

Zaśmiała się krótko.

— Tylko niezbyt wcześnie. Śpię do dziesiątej.

Linkowski wznosił ostatni toast na cześć gospodarzy domu.

— Niech nam żyją i przeżyją...

Kamaszowski zapraszał jeszcze do jedzenia. Zombrzeski przyjrzał się pełnemu półmiskowi.

— Zraziki na zimno, br.

— Frania odgrzeje — zawołała Zuza.

— Nie trzeba — oświadczył Goladzki i

wziął się do półmiska.

Madycki pożegnał się pierwszy. W przedpokoju Kasia ucałowała Zuze.

— Bawiliam się świetnie. Musicie teraz

przeżyć do nas.

— Muszę mu się dać odegrać — rzekł Kamaszowski.

— Przepraszam, wyszedłem na swoje.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za Madyckim, Kamaszowski uśmiechnął się do żony.

— Szła mi dzisiaj cholernie karta. — pomacał się po kieszeni — Mazurkiewicz przegrał nawet dolary. Nigdy mi tak jeszcze nie szło. To dobry znak.

— No, widzisz, a żałowałeś pudełka kawioru.

— Ja? Nic podobnego. Tylko to głupio wyglądało. Powiedziałem najpierw, że mamy jedno.

— Ale później przyszli nowi goście, trzeba było ich czymś przyjąć prawda? O tym nie pomyślałeś.

— Nie ma o czym mówić, kochanie. Kupię ci za te pieniądze coś ciekawego, dobrze?

— Lepiej daj mi je. Już ja sama sobie kupię, co mi będzie potrzebne.

Kamaszowski wyciągnął z kieszeni garść pięćsetek i setek i wręczył je żonie.

— Masz, kochanie. Niech ci służą — pocałował ją w policzek.

— O, nasza para grucha — zawołała Jolka otwierając drzwi do przedpokoju.

— Właśnie wyszli Madyccy — wyjaśnił Kamaszowski.

— Równy rząd i chodźmy stąd, jak mówi mój stary — rzekł Tolo sięgając po swój trenz na wieszak.

Linkowski perorował do Koniecznyńskiego.

— Nowa Huta, to bezsprzecznie wielka inwestycja, ale zobaczmy dopiero za kilka lat, jak będzie z jej przydatnością. Czy pan ma pojęcie, co znaczy uzależnić miasto od jednego zakładu przemysłowego?

— Nowa Huta? — Zombrzeski wzruszył ramionami — Nie wiem — Nigdy tam nie byłem.

— Siadaj pan — machnął lekceważąco ręką Linkowski.

— Tak, tak — potakiwał Koniecznyński — to bardzo ciekawe.

— Nie nudził się pan? — spytała Zuza Żyberskiego, który stał skromnie przy drzwiach.

— To ja się boję że znudziłem państwo.

— Prosimy częściej.

— Spijcie z aniołkami — wołał Goladzki — i nie...

Lilka zasłoniła mu usta.

— Pewnie powiesz znowu jakieś świństwo. Chodź, byku!

— Buuu! — Goladzki pochylił się i chciał ją ubić głową. Ze śmiechem uskokzyła na bok.

— Rogi masz, wiemy o tym — rzucił w niego piaszczem Zombrzeski.

— Buuu!

— Dobranoc!

— I dzień dobry. Już jasno na polu.

Zegnali się i potem hałasując schodzili po ciemnych schodach.

— To moja noga — wrzasnął komicznie Jagiński.

Śmiech przetoczył się głuchym echem po klatce schodowej.

Mazurkiewicz prowadził pod ramię Jolkę, idąc z nią na ostatku.

— Gdzie Władek? — zawołała z dołu Lilka Kósma.

— Jestem! — odezwał się Mazurkiewicz.

— Żebyś nam nie zginął.

— On zna dobrze te schody! — zażartował Zombrzeski.

Chwilę czekali na dozorcę.

— No to Kamaszowski zrobił nas dzisiaj na kilkadziesiąt tysięcy — westchnął Jagiński — nieprawdopodobnie szła mu karta. Ja mam foula królewskiego, bije po banku, a on wyciąga jedną siódmkę, drugą, trzecią, czwartą. Myślałem, że mnie szlag trafi. A z tym kolorem też się naciąłem. Lileczko, może ty mnie pocieszysz?

— Pocieszam cię — rzekła Lilka — że z tego nic nie będzie.

— Już płacę — pociągnął nosem Kazio — człowiek nie ma łona, na którym by się mógł wyzalić.

Mazurkiewicz zatrzymał się z Jolką na półpiętrze.

(Ciąg dalszy nastąpi)